



Victor Rezo

Biała
Mgła

Copyright © 2022 D.W.S. – Victor Rezo

Wydanie I

ISBN 978-83-966072-1-8

Projekt okładki
Longos

Wydawnictwo
Longos

Victor Rezo

Biała

Mgła

I

Usłyszała turkot kół, i nim zdążyła zorientować się w sytuacji, poczuła wbijające się w jej ramię palce. W jednej chwili ktoś mocno szarpnął ją za płaszcz, i nie zważając na okrzyk bólu, jaki z siebie wydała, odciągnął bezceremonialnie na bok. Powóz minął ją zaledwie o kilka cali, rozpędzając na boki poranną mgłę, skrywającą pokrytą błotem ulicę. Stangret spojrzał do tyłu przez ramię. Rzucił coś pod wążem i głośno strzelił z bata.

– Uważaj dziewczyno, ledwie zaczęłaś pracę, a już chcesz, żeby cię koń stratował? Najpierw zarób parę szylingów na pochówek, w przeciwnym razie twoje truchło wyląduje w rzece.

– Dobrze pani Moore.

– Już ci mówiłam Mildreth, że mam na imię Hortense i nie jestem żadną damą.

– Przepraszam pan... – w ostatniej chwili się zmitygowała, przełknęła ślinę, i zebrawszy się na odwagę, dokończyła. – Hortense.

– No – tęga kobieta pogroziła palcem, unosząc delikatnie kącik ust w nikłym uśmiechu. – Tędy będzie szybciej – powiedziała, skręcając w prześwit pomiędzy kamienicami, tak wąski i zawalony śmieciami, iż musiały posuwać się gęsiego. – Normalnie tędy nie chodzę, ale jest już późno i musimy się spieszyć, żeby jeszcze dostać, coś w miarę świeżego – rzuciła za siebie, przyspieszając.

Wyszły na znacznie szerszą brukowaną ulicę. Wydłużając krok, przebyły kolejne kilkadziesiąt jardów, aby znaleźć się na targowisku utworzonym przez kilka tuzinów ustawionych w rzędach straganów.

– Ryby, świeże ryby, tanie i smaczne! – wydarł się ponad panujący harmider niski, chudy mężczyzna, machając zachęcająco trzymanym w ręku dorszem w stronę Mildreth. – Dla ślicznej panienki te cudeńka.

Hortense pochyliła się nad stoiskiem, rzucając krytyczne spojrzenie na piętrzący się na nim połów.

– Przecież te ryby są stare.

– Nic podobnego – obruszył się do żywego. – Jeszcze rano pływały.
– Chyby w jakiejs kałuży do góry brzuchem.
– Jak śmiesz! W całym mieście nie znajdziesz świeższego towaru – uniósł trzymanego w ręku dorsza, imitując pokonywanie przez niego morskich odmętów.

– Przecież ona ma mgliste oczy, i jeszcze ten zapach, jeśli ona ostatnio pływała, to tylko w jakimś rynsztoku – Hortense obróciła się na pięcie, chwyciła Mildreth za rękę ciągnąc za sobą w głąb targowiska. Przepychała się do przodu, torując drogę ogromnym biustem, niemal tak potężnym jak wyrastający poniżej brzuch. Zatrzymała się przy usytuowanym pośrodku alejki kramie.

– Szanowna Lady Moore – rzekł wąsaty sprzedawca, robiąc przy tym przesadny ukłon. – Czym mogę pani służyć?

– Nie podlizuj się Goodel, i tak muszę coś u ciebie kupić. Dobrze wiesz, że o tej porze nie mam już zbyt dużego wyboru – machnęła ręką w geście rozpaczy, rozglądając się po wilgotnym asortymencie.

– Myślę, że nie tylko późna pora przygnała cię do mnie – odparł zalotnie, nie odrywając od niej wzroku.

Udała, że tego nie usłyszała, ale lekki rumieniec, który wykwitł na jej twarzy, wskazywał na coś zgoła innego.

– Daj mi dwa dorsze. Tylko żeby mi były świeże – ostrzegła.

– Dla ciebie miła, tylko to, co najlepsze – wygrzebał spod rozpadającego się stolika parę okazałych ryb.

Wystarczyło krótkie spojrzenie na towar, aby stwierdzić, że jego słowa były jak najbardziej uzasadnione. Z aprobatą kiwnęła głową.

– Millie, weź je.

Dziewczyna posłusznie umieściła towar w wiklinowym koszyku.

– Ooo, a co to za dziełatka? – zainteresował się Goodel obrzucając nastolatkę baczny spojrzeniem.

Dziewczyna zerknęła na kucharkę i widząc lekkie skinienie głowy, delikatnie dygnęła.

– Nazywam się Mildreth – powiedziała.

– Śliczne imię, moja babcia tak się nazywała.

– Ciekawe. Jak ostatnio flirtowałeś ze służącą Priców, mówiłeś, że twoja babcia to Kate – Hortense spojrzała na kramarza spode łba.

– Bo miała – oburzył się. – Mildreth, to moja druga babka.

– Pewnie... – fuknęła, płacąc za rybę. Obróciła się ostentacyjnie, zarzucając biodrami. Jednocześnie patrząc kątem oka, czy nie uszło to uwadze Goodela. Ku jej zadowoleniu reakcja była taka, jakiej się spodziewała. Usatysfakcjonowana wmieszała się w ciżbę.

Po dwóch kwadransach były już w drodze powrotnej. Ponownie pokonały wąską zdającą się jeszcze bardziej zawaloną śmieciami uliczkę. Wyszły na drogę, na której Mildreth co dopiero uniknęła śmierci pod kołami dorożki i szybkim krokiem skierowały się do domu przy Chapel Street. Kamienica była dwupiętrowa. Stała w szeregu sobie podobnych budynków. Nad wejściem usytuowano mały balkon wsparty na kolumnach w stylu jońskim. Stanowiący jednocześnie osłonę przed deszczem dla osób wchodzących do środka. Front budynku oddzielono od trotuaru metalowym kutym ogrodzeniem, odgradzając się w ten sposób od ulicznego ruchu. Obeszły ciąg kamienic, aby skorzystać z tylnego wejścia dla służby.

– Długo kazałyście na siebie czekać – powiedziała ostrym tonem chuda, niemal koścista kobieta, gdy tylko przekroczyły próg domu.

Bez słowa zdjęły wierzchnie okrycie, wieszając je, na zamocowanym na ścianie za drzwiami drewnianym wieszaku. Hortense chwyciła zakupy bezceremonialnie mijając rzucającą gromy z oczu Brittanicę. Mildreth natychmiast podążyła za kucharką.

– A ty gdzie? – spytała Brittanica wyciągając przed siebie żyłastą szyję, szczelnie otoczoną przez sztywną stójkę, będąca zwięzieniem czarnej sukni.

– Ja chciałam pomóc w kuchni – wyjąkała Mildreth.

– Da sobie radę bez ciebie, a podłoga sama się nie umyje.

– Tak panno Bennett – spuściła nisko głowę, splatając dłonie przed sobą.

– To, co tak stoisz? Mam to zrobić za ciebie?

– Tak panno Bennett, yyy...– szybko się zreflektowała i dodała. – To znaczy, nie panno Bennett – lekko się skuliła, czekając na policzek. – Przepraszam – bąknęła, unosząc nieśmiało wzrok.

– Jazda do roboty.

Dziewczynka zgarbiła się, i pobiegła po wiadro. Brittanica wyszła na korytarz, stanęła przed zawieszonym na ścianie lustrem. Poprawiła okulary, przyglądała kosmyk włosów, który uciekł na wolność z mocno ściśniętego koka. Obejrzała lewy, a następnie prawy profil, po czym dystyngowanym krokiem weszła na prowadzące na górę schody. Korytarz na piętrach, jak i na parterze pokryty był bordową tapetą, zdobioną przez wijące się delikatne złote kwiaty. Położyła na ustawionym pod ścianą

stoliku palec wskazujący, następnie przeciągając nim po blacie. Zerknęła na niego, strząsając kciukiem ledwie widoczne drobinki kurzu. Zatrzymała się przed masywnymi drewnianymi drzwiami, zrobiła wdech i dwukrotnie w nie zapukała. Po chwili dobył się zza nich niewyraźny głos.

– Kto tam?

Lekko chrząknęła, przesuwając usta do krawędzi drzwi.

– To ja, Brittanica. Madame.

– Czego chcesz?

– Chciałabym zamienić słowo – powiedziała głośniejszym, starając się nadać swojemu głosowi jak najdelikatniejszy ton. – Czy mogę wejść?

Zza drzwi dobiegło głośne jęknięcie.

– Jeśli musisz.

Brittanica jeszcze raz chrząknęła. Powoli otworzyła drzwi. W pokoju panował mroczny zaduch. Weszła do środka, kierując się od razu w stronę okna. Zrećźnie minęła stolik oraz krzesła ustawione na grubym perskim dywanie. Chwyciła ciężkie aksamitne story, pewnym ruchem rozchylając je na boki. Do pokoju wpadło szerokie pasmo światła, odsłaniając wysokie łóżko z baldachimem. Leżącą w nim potarganą kobietą, przesłoniła jedną ręką oczy, a drugą machnęła zirytowana na bok, jakby opędzała się od natrętnej muchy.

– Co ty wyprawiasz? Zasłoń je – rozkazała.

– Madame wybaczy, ale już dawno minęło południe i ...

– A co mnie to obchodzi – przerwała wściekła.

– Niedługo mają się zjawić państwo Ward i Green. Kazała pani...

– A po co oni tu przychodzą?

– Madame zaprosiła ich w ramach rewizyty za...

– Tak... już sobie przypominam – burknęła pod nosem. – Te wszystkie głupie konwenanse... – westchnęła. Uniosła się na łokciu, wspierając na poduszce. – Co tak stoisz?

– Przepraszam madame – odparła Brittanica, i skierowała się w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz? Podaj mi peniuar.

Bennett rozejrzała się i chwyciła leżącą na dywanie narzutkę. Delikatnie ją otrzepała, i trzymając rozchyłoną przed sobą, stanęła przy łóżku. Clementine wygramoliła się spod pierzyny. Wstając, zawadziła stopą o mały przenośny barek, sprawiając, iż stojące na nim kieliszki przewróciły się z głośnym brzękiem.

– Czemu nikt tego nie sprzątnął? – rzuciła gniewnie, zakładając peniuar.

Brittanica szybko wyszła na korytarz.

– Daphne! Gdzie jesteś?! – krzyknęła.

– Nie krzycz tak. Głowa mi pęka – jęknęła Clementine.

– Najmocniej przepraszam – uśmiechnęła się służalczo.

Po chwili rozległy się drobne kroczyki i w drzwiach pojawiła się ruda, piegowata dziewczyna. Zatrzymała się w progu, pochylając się w delikatnym ukłonie.

– Sprzątnij to szybko – wydała polecenie Brittanica, wskazując, stojący obok łóżka barek.

– Dobrze panno Bennett – służąca weszła do pokoju i lekko dygnęła. – Dzień dobry madame – chwyciła stojącą obok tacę, układając na niej kieliszki.

– Jeden zostaw – zaordynowała Clementine.

Dziewczyna skinęła głową, wykonując polecenie, po czym z tacą w ręku, przy wtórze delikatnego brzęku szkła opuściła pokój.

Clementine nalała czerwony płyn z karafki do kryształowego kieliszka i go opróżniła jednym haustem.

– Jeszcze tu jesteś? – rzuciła oschle, nalewając drugi kieliszek.

Brittanica delikatnie skinęła głową nie wiedzieć czemu, gdyż pani Griffith wciąż stała tyłem do niej, koncentrując swoją uwagę na barku. Wycofała się z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie, wypuszczając głośno powietrze z płuc. Odczekała chwilę, poprawiła kołnierzyk i ruszyła w głąb korytarza.

– Nie mogę w to uwierzyć – pokiwała Caddy z niedowierzaniem głową, a jej pulchna sylwetka zakołysała się wraz ze zwisającymi z uszu wielkimi perłami.

– To najświętsza prawda – odparła Eusebia Green, koścista rozmówczyni siedząca po drugiej stronie stołu. – Po prostu wyszła.

– Niewiarygodne – rzuciła właścicielka kolczyków, nie przestając kręcić głową.

– Cóż... – odezwał się niskim głosem siedzący obok mężczyzna. Twarze zebranych natychmiast zwróciły się w jego stronę. Wąsacz odkroił kawałek mięsa i włożył go do ust. Spokojnie przeżuł i przełknął. – Nie wiem co, cię

tak zaskoczyło moja droga. W końcu to było do przewidzenia. To małżeństwo, to typowy mezalians. Czegóż można było się spodziewać po takiej prostytutce, jeśli nie takiego właśnie zachowania – ukroił kolejny kawałek. – Gdy ktoś całe życie spędza w chlewie pośród świń, wcześniej, czy później zacznie robić to co one.

Po pokoju rozległ się cichy pomruk uznania.

– Całe szczęście, że chociaż z twarzy nie jest podobna do swojej kwiczącej rodziny – dodał Ward, a ostatnia uwaga została nagrodzona salwą śmiechu.

– Majorze, jak pan coś powie – westchnęła z zachwytem Eusebia.

– Po prostu, każdy ma swoje miejsce, a gdy wpuszcza się maciorę na salony. Wiadomo, że naniesie błota i gnoju.

– Ha, ha, wyborne, doprawdy wyborne – zapięła radośnie.

Usatysfakcjonowany reakcją towarzystwa uniósł kryształowy kieliszek i wypił łyk wina.

– Doskonale – zwrócił się do Clementine.

– Dziękuję, kuzyn przywiózł kilka skrzynek z podróży po Toskanii.

– Cóż, to kolejny powód, aby raz na jakiś czas opuścić tę wiecznie mokrą wyspę. Odkąd wróciłem z Indii, lewe kolano nie przestaje mi doskwierać – odparł major.

Boże znowu te Indie – pomyślała Clementine, posyłając uśmiech w kierunku rozmówcy, zerkając jednocześnie na męża, który przewracając oczami, głośnie westchnął.

– Masz rację, w tym roku Bristolska zima jest nad wyraz mroźna, no i jeszcze ten przejmujący wiatr – dodała Caddy Ward, wzdrygając się na pokaz.

– Dokładnie tak – potwierdził major, kiwając głową. – Nie to, co w Indiach. Od rana do wieczora pot kapał po plecach. Ba, kapał po każdym skrawku ciała. Pył unosił się w powietrzu, wdzierając się w każdy zakamarek ubrania. Czuło się piach trzeszczący między zębami. Pamiętam jak pewnego razu z szesnastą kompanią, maszerowaliśmy do Kalkuty, powietrze było tak gęste, że można je było kroić talwarem. Słonie ledwie szły...

– A Rishit mały poganiacz słoni, zaginał dzień wcześniej – przerwał mu Walter. – Spencer nie obraż się, ale mówiłeś nam tę historię wielokrotnie, a skromna ilość wina, którą dziś wypilem, nie pozwala mi wysłuchać jej po raz kolejny.

– Hmm... – obruszył się major. – O ile sobie dobrze przypominam, sami mnie prosiliście, abym opowiedział o szczegółach mojego pobytu w Indiach. Czyżbym był w błędzie, a może moja pamięć zaczyna szwankować?

– Nic z tych rzeczy Spencer – Walter uniósł dłoń w uspakajającym geście.

– Na pewno poprosimy cię jeszcze wielokrotnie, o którąś z twoich opowieści, są fascynujące i do głębi przejmujące, ale może dasz nam czas, aby pewne szczegóły tych historii zatarły się w naszej pamięci. Wtedy będziemy mogli ich wysłuchać ponownie, z takim samym przejęciem, jak wtedy, gdy mówiłeś o nich pierwszy raz.

Major zmierzył pochmurnym wzrokiem gospodarza i osuszył kieliszek wina. Przez chwilę panowała cisza, którą miłościwie przerwała Eusebia Green.

– Czy słyszeliście o tej biednej dziewczynie zamordowanej na Fleet Street?

– Nie wiem, czy znowu takiej biednej? Pracując na Fleet Street, mogła zarobić w jedną noc nawet kilkanaście szylingów – rzucił Spencer, szczerząc zęby, błyskawicznie zapominając o uszczypliwej uwadze Waltera.

W pokoju rozległ się gromki śmiech.

– Och majorze, jak pan coś powie – zaszcebiotała Eusebia.

– Spencer potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji – wtrąciła Caddy. – Gdy był w Indiach... – nagle zreflektowała się, lekki rumieniec wykwitł na jej twarzy i przerwała.

– Tak więc, podobno została zasztyletowana – kontynuowała Eusebia, rozglądając się po obecnych. – Mówią, że niedawno przyjechała do miasta i mało kto ją znał.

– To typowe dla prostaczków – włączył się Walter. – Zobaczą na ulicy złamanego pensa i gotowi są za niego zadźgać porządnego człowieka.

– Skoro pracowała na Fleet Street, to raczej nie należała do przykładowych panienek – wtrącił Spencer.

– Jakbyś ty tam nie bywał? – rzucił zjadliwie Walter.

Caddy błyskawicznie odwróciła się w stronę męża.

– Spencerze Wardzie, czy to prawda? – powiedziała.

– Przecież, to kompletna bzdura – odparł szybko.

Caddy wysłała pytające spojrzenie w stronę Waltera, który wytrzymując je, odparł:

– Nie patrz się tak na mnie, to ty obcujesz na co dzień z żołnierzami, a jacy oni są, każdy wie. Ja tylko chciałem przez to powiedzieć, że po Fleet

Street mógł iść każdy z nas – mówiąc to, spojrzał na zebranych. – Ta ulica nie jest jedynie miejscem pracy dla kobiet lekkich obyczajów.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała Clementine. – Hordy żebraków okupują każdy zaułek. Przejście ulicą nie będąc zaczepianą przez jakiegoś obdartusa, graniczy z cudem. Wy panowie dacie sobie radę z taką zaczepką, ale co mamy począć my, biedne niewiasty – westchnęła melodramatycznie.

– W rzeczy samej. Ktoś powinien w końcu zrobić z tym porządek. Tu potrzebna jest twarda ręka, jak w wojsku... i dyscyplina – rzucił major.

– A kogo chciałbyś dyscyplinować Spencerze? – wtrącił Walter. – Chyba nie to stado żebraków? Jak to sobie wyobrażasz?

– Nie mówię o nich. Dla nich jest już za późno. Dyscyplinę trzeba wprowadzać od najmłodszych lat dla wszystkich dzieci, niezależnie gdzie się urodziły, gdzie mieszkają i skąd pochodzą. Dyscyplina i karność, to są podstawy, które stanowią o sile przyszłego społeczeństwa.

– A gdzie musztra? – spytał Walter z przekąsem. – Mielibyśmy wtedy idealny materiał na żołnierza.

– Słusznie, musztra jeszcze nikomu nie zaszkodziła – odparł z pełną powagą.

– Czyli sądzą, że nam też mogłoby to się przydarzyć? – spytała Caddy.

– Musztra? – zdziwił się mąż.

– O czym ty mówisz? Mam na myśli morderstwo – odwróciła się do Waltera. – Uważasz, że ktoś mógłby zabić nas ot, tak na ulicy? Dla paru szylingów?

– Myślę, że w dzisiejszych czasach nie trzeba nosić przy sobie takiej fortuny. Pens jest wystarczającą zachętą, wabiącą, każdego zapyziałego nożownika.

– To dość przerażające przypuszczenie – wtrąciła Eusebia.

– Przerażające, ale w pełni uzasadnione – odparł Walter.

– Miejmy nadzieję, że policja już szuka tego oprawcy – dodała Clementine.

– Z pewnością, lecz czy go znajdzie, to już zupełnie inna sprawa. Poza tym, problemem nie jest tylko to zabójstwo, lecz to, co skłania ludzi do podejmowania takich brutalnych czynów.

– A cóż to według ciebie jest, jeśli nie chęć zysku drogi Walterze – powiedział Spencer.

– Problemem jest narastająca bieda. Jeśli ci ludzie chowający się po zaułkach, nie będą mieli gdzie spać i co jeść, posuną się do wszystkiego, by przeżyć, łącznie z morderstwem.

– Tak, pamiętam jak w Indiach... – Spencer spojrzął przed siebie, starając się sobie coś przypomnieć. – To było chyba w Bombaju, jakiś obdartus podszedł do małego niewidomego chłopca, który zbierał jałmużnę do drewnianej miski. Wyrwał mu naczynie z ręki i przewracając dzieciaka na ziemię, zniknął w tłumie.

– Więc myślicie, że tę dziewczynę zabił jakiś biedak? – powróciła do swojego tematu Eusebia.

– Tak lub nie. Jedyna osoba, która to wie, nie żyje, więc nie możemy jej o to spytać – oznajmił Walter.

– Tego bym nie powiedział – odezwał się siedzący obok Eusebii łysiejący mężczyzna. Do tej pory jedynie przysłuchujący się dyskusji.

– Jak to? – spytała Caddy.

– Można się jej spytać – dodał, bawiąc się kieliszkiem wina.

– W jaki sposób Gideonie? – zdziwiła się Caddy. – Przecież ona umarła.

– Moja droga, są na to sposoby – odparł spokojnie, przelewając wino po szklanych ściankach.

– Niby jakie?

– Hmm..., słyszeliście może o Madame de Conteville?

– To nazwisko nic mi nie mówi – powiedział Walter.

– Conteville? Czy oni nie mieszkają czasem przy St. George Street? – wtrąciła Caddy.

– Tego nie wiem, ale nie sądzę byśmy, mówili o tej samej osobie – odparł Gideon.

– A czemuż to? – zdziwiła się Caddy.

– Madame de Conteville, o ile mi wiadomo jest panną i zajmuje się raczej dość niszową działalnością.

– Mianowicie? – dążyła Caddy.

– Przeprowadza seanse spirytystyczne.

– Masz na myśli duchy? – odezwała się Clementine.

– W rzeczy samej. Kontaktuje się ze zmarłymi.

– To absurd. Duchy nie istnieją – fuknął major.

– Znam osoby, które by się nie zgodziły z twoją opinią – rzekł Gideon.

– A ty się zgadzasz?

– Cóż..., jeszcze niedawno miałem dużo wątpliwości, ale w ostatnim czasie zacząłem zmieniać swoje podejście do tego tematu i w tej chwili mogę powiedzieć śmiało. Tak. Duchy istnieją.

– Skąd ta zmiana? – spytał Walter.

– Byliśmy na jednym z seansów madame de Conteville – mówiąc to, spojrzał na żonę.

– Widzieliście duchy? – Caddy wybałuszyła oczy.

– Tak – odezwała się Eusebia.

– Boże, ale to ekscytujące! – wykrzyczała Caddy Ward i nie mogąc usiedzieć na krześle, pochyliła się nad stołem, ściskając w dłoni srebrny widelec. – Opowiadajcie.

– Po raz pierwszy usłyszeliśmy o madame de Conteville jakieś dwa miesiące temu od Woodrow'ów. Gdy byliśmy u nich z wizytą. Zapewne słyszeliście o ich synu Jeremim, który zmarł na suchoty, kiedy jeszcze był mały.

– Tak, to straszne, był takim miłym chłopcem – powiedziała ze szczerym smutkiem w głosie Clementine.

– Deborah wciąż nie może pogodzić się z jego śmiercią. Zwłaszcza, iż nie była przy nim, kiedy oddał ostatnie tchnienie. Lekarze poradzili jej, by wysłała chłopca do rodziny na wieś, miało mu to pomóc wyzdrowieć. Jak rada ta była pomocna, wszyscy wiemy – w pokoju rozległ się cichy pomruk aprobaty. – Tak więc udała się na jeden z tych seansów, aby móc dowiedzieć się od syna, czy nie żywi do niej urazy, o to, iż nie była przy nim w jego ostatnich chwilach życia.

– I... – wypłynęło z ust Caddy.

– Rozmawiała z nim. Powiedział, że teraz jest mu znacznie lepiej, że nic go już nie boli.

– Niby w jaki sposób? Wszedł do pokoju i przysiadł się do stolika? – rzucił sarkastycznie Spencer.

Caddy spojrzała karcąco na męża.

– Nic z tych rzeczy. Chłopiec przemówił ustami madame de Conteville – odpowiedział Gideon.

– No i proszę, wszystko jasne – rzucił triumfalnie Walter. – Jakaś kobieta wymamrotała „abrakadabra”, trzymając ręce na kryształowej kuli. Następnie powiedział dwa zdania dziecięcym głosem i już wszyscy myślą, że rozmawiali z duchem, zostawiając na stole parę szylingów. Kolejny hochsztapler zasznurowany w gorset.

- Śmiem się z tobą nie zgodzić drogi Walterze.
- Takie twoje prawo Gideonie, ale czy ta historyjka nie wydaje ci się dość naiwna?
- Z początku miałem podobne odczucia co ty, ale pewne rzeczy skłoniły mnie do zmiany zdania.
- A cóż mianowicie zachwiało twym zdrowym rozsądkiem?
- Słowa wypowiedziane przez madame de Conteville, a w zasadzie małego Woodrowa.
- Proszę, nie trzymaj nas dłużej w tej niepewności – powiedziała rozentuzjasmowana Caddy, ściskając jeszcze mocniej widelec.
- Powiedział, że nie chciał zabić Perełki. Śmierć kota to był wypadek.
- I to ją przekonało? – zdziwił się Spencer. – Doprawdy – dodał, ostentacyjnie wzdychając.
- Nie zupełnie. Deborah do tego czasu myślała, że kot zdechł ze starości. Jednak duch syna przyznał się, że zrzucił Perełkę z dachu, aby sprawdzić, czy wyląduje na czterech łapach. Niestety, niefortunnie zwierzak spadł na kant taczki, łamiąc sobie w ten sposób kark. Całe zdarzenie widział Edward Woodrow. Wziął nieszczęsne stworzenie i położył na fotelu przy kominku, tak aby wyglądało, iż kot dokonał swego żywota w sposób naturalny. Nie chciał, aby matka myślała o synu, jak o małym potworze.
- Może widział to ktoś jeszcze i opowiedział to madame de Conteville? – wysunął wątpliwość Walter.
- Edward jest pewien, że tylko on i syn byli świadkami całego zajścia. Poza tym ta historia wydarzyła się przeszło dziesięć lat temu i w domu nie pracuje już nikt, kto służył w rezydencji w tamtym czasie.
- Hmm..., to ciekawe, ale jeśli de Conteville odnalazła kogoś ze starej służby Woodrow'ów, mogła się tego dowiedzieć od niego – wtrącił Spencer.
- W końcu, mimo słów Edwarda istnieje możliwość, iż ktoś mimowolnie widział to zajście.
- Masz rację, też się nad tym zastanawiałem, ale jest coś, co burzy tę teorię.
- A mianowicie?
- Madame de Conteville nie wiedziała, że tego dnia pojawią się u niej Woodrow'owie. Mało tego, do tego czasu nawet ich nie знаła. Deborah będąc na spacerze z Edwardem, zupełnie przypadkowo wpadła na swoją przyjaciółkę, która właśnie szła na seans spirytystyczny i z ciekawości postanowili do niej dołączyć.

– Niesamowite – pokiwała głową Caddy. – A wy? Mówiliście, że też widzieliście duchy.

Gideon wymienił spojrzenie z żoną i widząc jej aprobujący wzrok, odparł:

– Tak, konkretnie ducha matki Eusebii. W lustrze na seansie spirytystycznym.

– W lustrze? – powtórzyła Clementine.

– Tak.

– Jesteście pewni, że to była ona? – spytał Spencer.

– Tak, była ubrana identycznie, jak w dniu śmierci i ten jej uśmiech. Zawsze, gdy się uśmiechała, lewy kącik ust pozostawał nieruchomy. To na pewno była ona – powiedziała Eusebia.

– Nie bałaś się? – zapytała Caddy.

– Nie bałam? Przez dwa dni trzęśłam się jak osika. Nawet oka nie zmrużyłam, widziałam ją w każdym ciemnym kącie domu. Gideon widział ją w nocy, jak szła ze świecznikiem po korytarzu – zadrżała, jakby poczuła nagły powiew zimnego powietrza. Szybko się odwróciła, obrzucając wzrokiem zamknięte okno.

– Naprawdę ją widziałeś? Może to był ktoś ze służby? – zdziwił się Walter.

– Na początku też tak myślałem. Zawołałem, ale nie zareagowała. Poszedłem za nią, czy może za nim? W końcu to duch... – przez chwilę się zastanawiał. – Zresztą, nieważne. To coś skreśliło w lewo i zniknęło.

– Pewnie wszedł do któregoś pokoju – rzucił Spencer.

– To niemożliwe, w tym miejscu korytarz jest ślepy, a na jego końcu znajduje się okno.

– To przez nie wyszedł. Pewnie to był złodziej.

– Nic z tych rzeczy. Po pierwsze poszedłem za nim, na pewno nie zdążyłby wyjść przez okno, po drugie było ono zamknięte, po trzecie, duch miał na sobie koszulę nocną i najważniejsze..., widziałem jego twarz, tak wyraźnie, jak was teraz – rozejrzał się po obecnych. – To była świętej pamięci Mary Conway, matka mojej Eusebii – mówiąc to, złapał żonę za rękę.

II

Obudził go solidny kopniak. Cicho pojękując, złapał się za żebra.

– Wstawaj! Nie potrzeba mi obiboków.

Otworzył oczy i zobaczył postrzępioną nogawkę, luźno opadającą na brudne oddalające się od niego buty. Usiadł na resztkach pokrytego licznymi plamami moczu siennika, rozłożonego na jeszcze brudniejszych deskach i podciągnął nogi pod siebie. W izbie panował przejmujący ziąb. Poprawił onuce i mocniej zasznurował buty. Powoli wstał, mrużąc oczy, aby móc lepiej zorientować się w sytuacji.

– Ile mam na ciebie czekać?! – dobiegł go ostry, dochodzący z zewnątrz głos.

Skierował się w stronę podłużnego niewyraźnego snopa światła, przedzierającego się poprzez uchylone drzwi. Przeszedł przez próg i stanął na pełnym śmieci podwórku.

– Łap – zaordynował mężczyzna i rzucił w Magnusa pękiem czarnego sznura, który opadł na ziemię. – Chyba nie myślisz, że będę to za ciebie taskał.

– Nie psze pana – bąknął posłusznie chłopiec, podniósł ciemny zwój i przełożył go przez ramię.

Zanurzyli się w mleczej wilgotnej mgle. Chłopiec szedł niemal po omacku, widząc jedynie przed sobą wyświechtany czarny płaszcz Knighta. Zatrzymał się na chwilę, aby szczelniej okryć się dziurawą kapotą i poprawić zsuwający się z ramienia sznur. To wystarczyło, żeby pozostał sam w porannych oparach. Nerwowo rozejrzał się na boki, próbując zlokalizować swojego chlebobawcę. Zrobił parę niepewnych kroków do przodu, nie wiedząc, w którą stronę ma podążać.

– Panie Knight – wydukał pod nosem. Cisza panująca wokół sprawiła, iż zadygotał. Wykonał kolejnych kilka kroków w białą pustkę. – Panie Knight! – ponowił wołanie, głośniejsze niż zamierzał. Czekał. Nagle do jego uszu dobiegł ciężki i głuchy dźwięk. Zbliżał się. – Panie Knight! – krzyknął w

panice i w tym momencie otrzymał potężne uderzenie w plecy. Omal nie upadł, próbując utrzymać równowagę.

– Ruszaj się – usłyszał znajomy oschły głos. – Nie jestem twoim zachlanym ojcem, żeby cię niańczyć.

– Tak psze pana.

– Jak takie ścierwo jak ty, w ogóle przyszło na świat? – pociągnął nosem, głośno kaszlnął i posłał flegmę na bruk. Kopnął dzieciaka w tyłek i machnął ręką przed siebie. – Tędy – zaordynował.

Powoli z mgły zaczęły wyłaniać się posępne kamienice, a ruch stał się na tyle duży, iż musieli zejść z ulicy, aby nie zostać stratowanymi przez konie.

– Już niedaleko, to ten budynek po drugiej stronie. Tylko się zachowuj, to ważny klient, nie chcę świecić za ciebie oczami.

– Tak psze pana – odparł Magnus, nie mogąc oderwać wzroku od kamiennych mężczyzn podtrzymujących balkon.

Obeszli kamienicę, po czym stanęli przed dębowymi drzwiami. Knight zdjął z głowy umorusany kapelusz i przyciskając go do piersi, głośno zapukał. Spojrzał w bok na sięgającego mu do pasa pomocnika, grymas złości wykwitł mu na twarzy i mocno uderzył chłopaka w potylicę.

– Jak się zachowujesz? Zdejmij czapkę – warknął.

Chłopak błyskawicznie wykonał polecenie, przyciskając ją do piersi jak pracodawca. Rozległ się odgłos odsuwanej zasuw i drzwi otworzyły się z przejmującym skrzypnięciem.

– No, nareszcie. Wytrzyjcie buty – rzuciła zażywna kobieta. Nie mówiąc nic więcej, ruszyła w głąb domu.

Knight zamknął drzwi i podążył jej śladem, popychając przed sobą chłopaka.

– Tutaj – pokazała ceglany kominek w salonie. – Dym się cofa.

John chwycił za wystającą cegłę, aby móc zajrzeć do wnętrza kominka. Przekręcił głowę w górę i obwieścił:

– Pewnie coś wpadło do komina.

– Pff... – fuknęła. – Tyle to i ja wiem. Dlatego po was posłałam – rzuciła oschle. – Ile to wam zajmie?

– To zależy, czy będziemy musieli...

– Nieważne co będziecie musieli zrobić – przerwała mu. – Abyście skończyli do obiadu – odwróciła się i już miała opuścić pokój, ale zatrzymała się w progu i dodała. – Tylko nie uświńcie wszystkiego sadzą, to jest porządny dom, a nie jakiś chlew. Pani nie byłaby z tego zadowolona.

– Oczywiście – odparł John i skłonił się usłużnie. Począł, aż służąca zniknie za rogiem i odwrócił się do chłopaka. – No, na co czekasz? Włóż do środka.

Magnus przełożył przez głowę zwój liny i rzucił go na podłogę.

– Co robisz idioto? – warknął John, uderzając chłopaka w tył głowy. – Nie słyszałeś, że ma być czysto?

– Przepraszam panie Knight – wydukał Magnus i schylił się po potwornie czarny sznur.

– Zostaw to – zagrmiał John. – Włóż do komina. Nie mamy całego dnia – poparł swoje słowa potężnym kopniakiem wymierzonym w tyłek pomocnika.

Kominek był na tyle duży, iż Magnus wszedł do środka w pełni wyprostowany. Uniósł ręce, chwycił się za metalowy szczebel wbity w ścianę, podciągnął się, złapał kolejny i po paru ruchach mógł oprzeć stopę na pierwszym pręcie. Odczekał kilka sekund, aż wzrok przywyknął do ciemności i powędrował w mroczną czeluść. Po chwili bardziej wyczuł, niż zobaczył, że ściana z jednej strony zaczyna się coraz bardziej zwężać. Wystawił nogę i stanął na ceglanej półce. Przeszedł po niej na czworaka i spojrzał w dół z drugiej strony. Zobaczył to, czego się spodziewał, czyli wylot drugiego kominka.

– No i co? – dobiegł go spotęgowany przez ceglany tunel głos.

Odwrócił się i ostrożnie po gramolił z powrotem, wystawiając głowę poza półkę, aby ujrzeć w dole rozdziawioną gębę szefa.

– Jestem na półce między kominkami psze pana – obwieścił Magnus

– I co tam robisz? Śpisz? – padło pytanie z dołu.

– Nie ja tylko...

– Ruszaj się. Co z kominem?

– Zaraz zobaczę – chłopiec ostrożnie obrócił się, aby spojrzeć w górę, poruszając tym samym stertę sadzy, która opadła na palenisko.

– Eh..., ee... – zakrztusił się John, cofając szybko głowę. – Uważaj, co robisz..., eeh... , idioto! – przetarł rękawem wysłużonego płaszcza twarz i plunął czarną śliną na cegły.

– Przepraszam psze pana – rozległ się głos z góry. – Coś jest w kominie, ale nie wiem co. Z dołu nie sięgnę. Nie ma szczebli.

– To wyłaż, pójdziemy na dach.

Po chwili z kominka wyleciała czarna smuga pyłu, z której wyłonił się Magnus.

– Rany jak ty wyglądasz – powiedział Knight i szybko dodał. – Tylko się broń boże, nie otrzepuj. Masz iść powoli, tak aby nawet pyłek nie spadł na podłogę.

Chłopiec ostrożnie uniósł nogę, aby wykonać pierwszy krok.

Mildreth otworzyła szeroko drzwi dla służby, pozwalając by pojedyncze płatki śniegu, wślizgnęły się do środka. Chwyciła stojący na ziemi wiklinowy kosz wypełniony mokrym praniem, a następnie taszcząc go przed sobą, nie bez trudu dotarła do długich sznurów, rozwieszonych między okalającymi podwórze murami. Z wyraźną ulgą postawiła go na ziemi i wyprostowała się, trzymając dłonie na lędźwiach.

Kiedy ciężko, gdy jest źle
Wkraczaj śmiało w gęstą mgłę
Tam nie zaznasz nigdy głodu
Koniec strachu, koniec chłodu

Rozejrzała się, próbując wychwycić kierunek, z którego dochodziły słowa dziecięcej wyliczanki. Podeszła do muru i wspięła się na drewnianą skrzynkę, aby móc zobaczyć co znajduje się po drugiej stronie. Podwórko było bliźniaczo podobne do tego, na którym się znajdowała. Pośrodku niego dwie dziewczynki skakały przez zwykły sznurek, zastępując nim skakankę, najwyraźniej dobrze się przy tym bawiąc.

– Co ty tam wyprawiasz?!

Usłyszała krzyk. Podskoczyła wystraszona, niemal spadając z prowizorycznego podestu. Jednak w ostatniej chwili złapała się krawędzi muru, odzyskując równowagę.

– Ja, ja... – zaczęła się jąkać. – Rozwieszam pranie.

– Jakoś to mi na to nie wygląda – rzuciła ostro Brittanica.

Mildreth zeskoczyła na ziemię, podbiegła do kosza chwytając pierwszą z brzegu rzecz. Wyciągnęła przed siebie trzymaną w ręku poszewkę na poduszkę, jednocześnie mocno nią trzącąc.

– Jak skończysz, zmień pościel u madame Griffith i na litość boską zamykaj wejście! Nie po to ogrzewamy dom, żeby było w nim zimno jak w psiarni – mówiąc to, zatrzaskała za sobą drzwi.

Dziewczyna mimo panującego na dworze zimna przetarła ręką spocone czoło, poprawiając przy tym czepek na głowie. Westchnęła i zarzuciła na sznur kolejne parujące prześcieradło.

Magnus zdjął z siebie podartą kapotę, układając ją staranie na pokrytym lodem dachu i wsunął w spodnie wystający z tyłu rąbek koszuli, zaciskając mocniej kawałek sznurka służący mu za pasek. Następnie podniósł linę, przewijając się nią w tali.

– Długo jeszcze będziesz się pindrzył? – rzucił zniecierpliwiony Knight.

– Już kończę psze pana – odparł, wiążąc trzęsącymi się od zimna rękami supeł, na okalającym pas sznurze.

John chwycił linę, mocno nią szarpiąc, przyciągając w ten sposób chłopaka do siebie.

– Wystarczy – zaordynował. – W końcu nie będziesz się wspinał, bóg wie gdzie – popuścił chwyt. – Włóż do środka.

Magnus podniósł ręce, chwycił się szczytu komina, z wysiłkiem podciągając się do góry. Jednak po chwili niezdarnej szamotaniny opadł na dach. John zaklął pod nosem, złapał dzieciaka w pasie i posadził na kominie.

– Czy ja muszę wszystko robić za ciebie?! Na co mi taki pomocnik? Może powinienem poszukać kogoś bardziej rozgarniętego?

– Nie trzeba psze pana – odparł szybko. – Ja zaraz wszystko wyczyszczę. Będzie pan zadowolony.

– No, mam nadzieję – uniósł palec w ostrzegawczym geście. – Żeby nie to, że mam takie dobre serce, już dawno zamarzyłbyś w jakimś zaszczanym zaułku.

– Wiem, bardzo panu dziękuję za opiekę – pokornie skłonił głowę.

Knight zmierzył dzieciaka groźnym spojrzeniem.

– Więc okaż, choć krztę wdzięczności i włóż wreszcie do tego cholernego komina! – złapał linę i pchnął Magmusa w czarną dziurę.

Chłopak przez moment zsuwał się głową w dół. Nagłe szarpnięcie zacisnęło pętlę wokół pasa. Na chwilę zabrakło mu tchu. Szybko dotknął rękami ceglanych ścian, aby uspokoić rozdygotane ciało. Średnica komina nie była dużo większa od jego ramion.

– I co?! – krzyknął John do wnętrza komina, popuszczając powoli linę.

– Na razie wszystko w porządku – wystawił ręce przed siebie, zsuwając się w dół.

Knight wypuścił kolejnych kilka jardów, zanim usłyszał dobiegający z ceglanego tunelu krzyk.

– Jest coś!

Zablokował linę, czekając. Rozległ się jakiś przypominający szamotaninę hałas. Sznur zatańczył na krawędzi komina, strzępiąc się o cegły. Kolejny głuchy dźwięk czegoś spadającego wydobył się z mroku, a tuż po nim dał się słyszeć głos Magnusa:

– Już odetkałem.

John rozpoczął mozolne zwijanie liny. Po minucie zobaczył dziurawą podeszwę buta. Złapał chłopca za nogi i wyciągnął z komina.

– No i co to było? – spytał.

– Jakiś ptak zrobił sobie gniazdo – odparł Magnus, otrzepując się z sadzy.

– Cholerne ptaszyska, wciskają te badyle, gdzie tylko mogą. Po co robić gniazdo w cholernym kominie?

– Może było mu zimno – bąknął chłopak i od razu tego pożałował.

– A tobie jak jest zimno, to też wchodzisz do komina? – zaatakował Knight.

– Nie, ale...

– Co ale? – warknął wściekły. – Myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie?

– Nie psze pana – spuścił głowę.

– Pieprzony filio..., ff..., filozof się znalazł – zdzielił chłopca w głowę i w tym momencie rozległ się cichy pisk. – A to co? – przyciągnął Magnusa do siebie, wsadzając mu rękę pod koszulę. Po chwili wyjął zza brudnego materiału małego pisklaka. – Co my tu mamy?

– Był w gnieździe. Wziąłem go, żeby mu się nic nie stało.

– I po co? Będiesz go karmił, a może ja mam to zrobić? Sam nie mam co do gęby włożyć, a jeszcze muszę utrzymywać takiego darmozjada jak ty – obejrzał szarą puchową kulkę. – Nawet nie ma jak go zjeść. Same pióra i kości.

– Może mama będzie go szukać. Jak go tam położymy, to na pewno go znajdzie – powiedział Magnus z nadzieją w głosie, wskazując kawałek dachu obok komina.

– Lepiej niech sam jej poszuka. Tak będzie szybciej – burknął John, zrzucając pisklaka z dachu.

Ptaszek zamachał instynktownie skrzydełkami. Jednak bez żadnego rezultatu i spadł na ziemię jak kamień. Magnus niewiele myśląc, zerwał się do biegu, ale potężne szarpnięcie liny posadziło go gwałtownie na tyłku.

– Ty filozof, nie mamy czasu na głupie zabawy. Trzeba uprzątnąć badyle, które zrzuciłeś na dół. Nie mam zamiaru sprzątać po tobie – zatkał palcem dziurkę od nosa i drugą obficie smarknął. Następnie pociągnął sznur do góry, stawiając w ten sposób chłopca na nogi. – Ruszaj się – wymierzył mu siarczystego kopniaka.

Chłopak poczuł napływające do oczu łzy, ale wyczuwając wzrok Knighta na swoim karku, przygryzł wargę, aby powstrzymać pierwsze słone krople.

Ścisnęła kilkukrotnie poduszkę, aby nadać jej puszystości, ułożyła ją staranie u wezglowia, dotykając atlasowej narzuty. Jakże ona była miękka. Jak cudownie musi się spać na takim posłaniu – przeszło jej przez myśl. Spojrzała na otwarte drzwi, bacząc czy nikt jej nie widzi i ostrożnie przysiadła na skraju łóżka. Opuściła ręce po bokach i delikatnie palcami musnęła króciutkie włosie. Po chwili rozwarła dłonie, kreśląc coraz większe kręgi na szkarłatnym materiale. Jakiż on cudowny w dotyku – pomyślała, Mildreth kładąc się na plecach. Przymknęła oczy i cicho westchnęła. Nagle usłyszała jakiś hałas dochodzący z korytarza. Błyskawicznie poderwała się z łóża. Wygładziła w pośpiechu narzutę, chwyciła brudną pościel z ziemi i z wypiekami na twarzy wybiegła z pokoju. Szła w stronę schodów, gdy na końcu korytarza ujrzała znikającą za rogiem dziewczynkę, była od niej niższa o pół głowy, a zwiewna sukienka w drobne kwiaty sięgała jej do kostek. Dziwne, czyżby na piętrze mieszkał ktoś jeszcze? – pomyślała, przyciskając do siebie poszwę. Zeszła na dół do pralni, wrzuciła pościel do kosza z brudnymi rzeczami, chwyciła wiadro z wodą i udała się do kuchni.

Hortense stała nad garnkiem wrzucając do niego jakieś zioła. Zamieszała łyżką, podniosła ją do ust i dmuchnęła, aby ostudzić parujący wywar. Spróbowała trochę, po czym zmarszczyła lekko brew nie do końca zadowolona z efektu swojej pracy. Dosypała jakiejs przyprawy z wiszącej na ścianie półki i spróbowała ponownie. Kątem oka zobaczyła stojącą w progu Mildreth.

– Chcesz trochę zupy? – uśmiechnęła się zapraszająco.

– Nie, dziękuję. Muszę najpierw umyć podłogę.

– Jeszcze zdążysz.

– Panna Bennett będzie niezadowolona, jeśli tego nie zrobię.

– Panna Bennett jest wiecznie niezadowolona, nie ma znaczenia, czy podłoga jest brudna, czy czysta – posłała kolejny uśmiech w stronę dziewczyny. – Poza tym wyszła i nie będzie jej przez jakiś czas – podeszła do szafki, wyjęła z niej talerz i nie czekając na reakcję dziewczyny, nałożyła potężną porcję zupy. – Siadaj i zjedz coś – postawiła talerz na stole, kładąc obok grubą pajdę chleba.

Mildreth chwilę się wahała, walcząc z poczuciem obowiązku. Strach przed Brittanicą kazał jej wziąć się do roboty, lecz rozkoszny zapach rozchodzący się w powietrzu drażnił jej zmysł powonienia, w końcu głód zwyciężył. Odstawiła wiadro i wrzuciwszy do niego szmatę, usiadła przed parującą zupą. Chwyciła łyżkę, jak kij skupiając się na wiosłowaniu.

– Bardzo dobra – powiedziała z pełnymi ustami, podnosząc głowę znad talerza.

– Ma się rozumieć – odparła Hortense z satysfakcją. Chwyciła nóż i zabrała się do krojenia mięsa.

– Nie wiedziałam, że mieszka tu dziewczynka – zagaiła Mildreth między siorbnięciami, pochłaniając zupę w błyskawicznym tempie.

– O czym ty mówisz? – rzuciła kucharka, nie przerywając krojenia.

– Widziałam na piętrze małą blondynkę – rzekła, biorąc potężny kęs chleba.

– Musiało ci się wydawać. Tu nie mieszka, żadna dziewczynka. Oczywiście poza tobą i Daphne.

– Hmm..., dziwne mogę przysiąc, że ją widziałam, była niższa ode mnie, miała długą jasną sukienkę i złote włosy.

Nóż Hortense na chwilę zawisł nad kawałkiem wieprzowiny. Kobieta nieświadomie przygryzła dolną wargę, zawieszając spojrzenie na desce do krojenia.

– Lepiej Millie wracaj już do pracy, pani Bennett może niedługo wrócić – powiedziała, nie odwracając się.

Dziewczyna połknęła dwie łyżki zupy, jedną po drugiej, wepchnęła resztę chleba do ust i chwyciwszy wiadro, wyszła z kuchni. Hortense nasłuchiwała kroków służącej, niknących w oddali, a gdy ustały na dobre, odwróciła się, oparła ciężko o blat i zrobiła parę głębokich wdechów, aby uspokoić skołataną nerwy.

Walter otworzył pudełko z cygarami, wyjął jedno z nich, zapalił. Rozparł się wygodnie w fotelu, wypuszczając z ust wielką chmurę dymu i powiódł leniwym wzrokiem po swoim gabinecie, głośno wzdychając. Wczorajsze rewanzowe przyjęcie dało mu się mocno we znaki, od rana czuł lekkie ciśnienie w głowie. Sięgnął po stojącą na stoliku obok buteleczkę, odkorkował ją i wypił mały łyk. Już miał ją odstawić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Ponownie wyjął korek, aby przyjąć kolejną dawkę swojego panaceum. Jeśli laudanum nie pomoże, to już nic nie pomoże – pomyślał. Nagle drzwi do pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich służąca.

– Bardzo pana przepraszam. Myślałam, że gabinet jest pusty – powiedziała Daphne zawstydzona, wycofując się na korytarz.

– A gdyby tak było? To, co miałaś zamiar uczynić? – rzucił Walter.

– Chciałam tylko odkurzyć – odparła z delikatnym uśmiechem, unosząc do góry pierzastą miotełkę.

– Zatem przymknij drzwi i nie przeszkadzaj sobie. Zachowuj się tak, jakbym był powietrzem – odrzekł z równie delikatnym uśmiechem, zakładając nogę na nogę.

Dziewczyna podeszła do regału z książkami, uniosła miotełkę i lekkim ruchem, znamionującym wprawę w tym, co robi, przesunęła pióra po grzbietach opasłych woluminów. Walter wypuścił kolejną smugę dymu przed siebie, odchylił głowę do tyłu i powiódł wzrokiem za smukłą sylwetką Daphne, która całą swoją uwagę skupiła na oczyszczeniu dwóch obrazów przedstawiających wiejski krajobraz. Griffith uwolnił z ust następną chmurę dymu, czując jak laudanum, zaczęło powoli objawiać swą moc. Pokojówka minęła masywne biurko. Walter, przewidując trasę, którą dziewczyna przemierzy pokój, przechylił się na oparciu fotela i wystawił rękę tak, aby zahaczyć nią o sukienkę.

– Och najmocniej pana przepraszam – odparła zmieszana.

– Oj..., nic się nie stało – rzucił niedbale, trzymając fałdę materiału między palcami, jednocześnie się nią bawiąc.

Daphne próbowała wrócić do swoich obowiązków, ale poczuła, że materiał sukienki się napina, a Walter ciągnie ją ku sobie.

– Proszę pana, ja muszę odkurzyć... – wydukała szybko, pąsowiejąc na twarzy.

– Oczywiście, ale nie przejmuj się tym. Jeśli chcesz, mogę dać ci wolne – posłał dwuznaczny uśmiech i mocniej pociągnął za swoją zdobycz.

Dziewczyna niemal usiadła na kolanach Waltera, jednak w ostatnie chwili chwyciła się poręczy fotela, ustając na nogach.

– Biedactwo, ależ jesteś zmęczona – w głosie dało się słyszeć autentyczną troskę. – Spocznij na chwilę – mówiąc to, klepnął kilkukrotnie w swoje udo.

W tym momencie drzwi do pokoju stały otworem.

– Co ty tak długo dziewczyno robisz? – rzuciła ostro Brittanica.

Daphne odwróciła się błyskawicznie, odsłaniając jednocześnie skrytego jeszcze przed chwilą w fotelu mężczyznę.

– Ja... – bąknęła.

– Sprząta – dokończył Walter za nią. Pyknął cygaro i stuknął palcem w podłokietnik. – Jeszcze tutaj Daphne. Nie znoszę tych pyłków.

Dziewczyna stała jak oniemiała. Brittanica omiotła wzrokiem obecnych.

– Nie słyszysz? Zajmij, że się sprzątaniem – zaordynowała, po czym posłała delikatny uśmiech pracodawcy, lekko się skłoniła i wyszła.

Griffith spojrzał na krzątającą się wokół fotela służącą i napotykać jej wzrok, uśmiechnął się zalotnie. Dziewczyna szybko odwróciła głowę, a Walter sięgnął po butelkę z laudanum i wypił kolejny łyk.

– Masz – burknął John, rzucając na brudny stół ustawiony pośrodku jego kwatery kawałek czerstwego chleba. – Właściwie nie powinieneś dzisiaj nic jeść – podnosząc wzrok znad miski. – Wiesz dlaczego? – widząc pytające spojrzenie chłopca, kontynuował. – Bo na jedzenie, trzeba zapracować, a ty, najwyraźniej tego nie potrafisz.

– Ale przecież ja... – Magnus nie dokończył, gdyż John pochylił się nad stołem i zdzielił go w głowę.

– I jeszcze pyskujesz – zmierzył chłopca wściekłym spojrzeniem, wyczekując jakichkolwiek oznak buntu. Nie doczekawszy się ich, dodał. – Przez ciebie mogłem stracić jednego z najlepszych klientów. Jeszcze jeden taki numer, a wylądujesz na bruku – głośno siorbnął zupę. – Kręci się tu mnóstwo dzieciaków mniejszych od ciebie, którzy będą się bardziej nadawać do tej roboty – przez cały czas obserwował Magnusa i teraz

wreszcie uśmiechnął się z satysfakcją, widząc jak drobna sylwetka chłopca, kuli się pod realną groźbą.

– Przepraszam psze pana – wybąkał mały.

– No... – John rzucił chłopcu przez stół kolejny kawałek chleba. – Masz szczęście, że mam dobre serce – głośno beknął, odsuwając pustą miskę i wstał od stołu, przewracając na podłogę rozklekotany taboret. Otworzył drzwi wyjściowe i do izby wtargnęło mroźne powietrze. – Przydaj się do czegoś i sprzątnij ten chlew – wyszedł, trzaskając drzwiami.

Magnus rzucił się na pustą miskę, wylizując do cna resztki zupy. Podniósł stołek, rękawem przetarł stół i chwiejnym krokiem doszedł do starego siennika. Położył się na nim, okrył starym kocem i zasnął.

Uwiesiła się na ramieniu swojego adoratora, nie odrywając wzroku od jego twarzy zdobionej przez przyprószone siwizną krzaczaste bokobrody.

– ... a potem przyprowadził konia.

– Doprawdy to niewiarygodne – zaszczębiotała, wachlując rzęsami.

– A ja mu powiedziałem, że mając takiego konia i taką żonę, nie powinien w ogóle opuszczać stajni, a jemu w jednej chwili spadł melonik z głowy – dokończył dykteryjkę mężczyzna.

– Ha, ha, ha, Jude proszę już przestać. Nie wytrzymam – kokieteryjnie klepnęła go w ramię, odzianą w rękawiczkę dłonią.

Tej nocy ruch nie był zbyt duży, a późna pora i panujący sążnisty mróz nie sprzyjał romantycznym przechadzkom. Przecięli snop światła rzucany przez uliczną latarnię i skryli się w mroku, aby po chwili wynurzyć się z niego w blasku kolejnej latarni.

– Okolica nie wygląda na zbyt przyjazną – powiedział mężczyzna, rozglądając się niepewnie po obskurnych kamienicach. – Czy na pewno idziemy w dobrym kierunku?

– Tak – posłała mu słodki uśmiech. – To już niedaleko, zaraz za tym rogiem. Zazwyczaj nie wracam o tak późnej porze, ale przy tobie czuję się bezpieczna – zatrzepotała rzęsami.

– Cóż – uśmiechnął się szarmancko, odzyskując nieco rezonu i ponownie wszedł w ciemność – Tak więc, gdy byłem w Cork... – rozpoczął kolejną anegdotę.

Nagle na drodze przed nimi wyrosła jakaś postać. Próbowali ją wyminąć, jednak obcy zrobił krok w bok, blokując im przejście.

– Nie boją się tak państwo sami chodzić po zmroku? – rzucił nieznajomy.

– Proszę zejść z drogi. Nie widzi pan, że odprowadzam damę.

– Ha, ha, a to dobre. Jakoś nie widzę tu żadnej damy – rzucił obcy ze złośliwym uśmiechem.

– Jak pan śmie brukać dobre imię tej kobiety. Lorabelle, niczego się nie obawiaj – objął ją ramieniem, starając się ominąć napastnika.

Jednak mężczyzna wystawił, rękę blokując drogę.

– Zaraz, nie tak szybko ślicznotko. Kto zapłaci za przejście?

– Jak pan śmie? – oburzyła się.

– Żeby nie fakt, iż jestem gentelmanem – wtrącił Jude. – I że jest tu kobieta, dałbym panu porządną nauczkę, na którą z pewnością pan zasługuje.

– Ależ proszę się nie bastować – powiedział nieznajomy, wyjmując zza pazuchy solidnych rozmiarów nóż.

– Jak pan sobie życzy – odparł wściekły Jude. Zagarnął dziewczynę za siebie, chwycił oburącz trzymaną w ręku łaskę i mocno szarpnął, wyciągając z niej długie niemal na trzy stopy ostrze. Zamachnął się, tnąc jak szpadą. Napastnik wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i odskoczył do tyłu, próbując parować cios nożem. Jednak na niewiele się to zdało. Jude rozciął rękaw płaszcza, raniąc przeciwnika w przedramię. Odwiódł szpadę do tyłu, gotując się do pchnięcia, gdy nagle jego głowę przeszył straszliwy ból i jak raniony piorunem, padł twarzą na bruk.

– No, wreszcie – wysapał mężczyzna z nożem. – Jeszcze trochę, a by mnie posiekał.

– Sam sobie jesteś winien – odparła Lorabelle. Odrzuciła na bok kostkę brukową, zdjęła rękawiczkę, pochyliła się nad swoim adoratorem i przyłożyła dłoń do jego ust. – Oddycha – oznajmiła. – Pomóż mi Orris – rzuciła rozkazującym tonem. Przekręcili nieprzytomnego Juda na plecy, a ona zręcznym ruchem rozpięła mu płaszcz, wyjmując portfel z wewnętrznej kieszeni. Pogmerła chwilę przy kamizelce, czego skutkiem był zdobyty zegarek. – Dobra idziemy – chwyciła współnika za rękaw i pociągnęła za sobą. Odeszli kilka jardów, kiedy Orris zatrzymał się gwałtownie.

– Zaczekaj – rzekł i pobiegł z powrotem.

– Ani myślę, zaraz ktoś tu może przyjść – syknęła, nie zatrzymując się, minęła kolejną kamienicę i skręciła za róg. Po chwili rozległ się przeciągły

gwizd i zobaczyła zbliżającego się z naprzeciwka policjanta. Stanęła jak sparaliżowana, szykując się na najgorsze. Jednak on ją minął i pobiegł w kierunku, z którego przyszła. Wypuściła głośno powietrze i oparła się o mur. Nagle podskoczyła ze strachu, czując jak ktoś, chwytając ją mocno pod ramię.

– Co tak stoisz, musimy uciekać – powiedział Orris, popychając ją do przodu.

– Gdzieś ty polazł?

– Zapomnieliśmy tego – obwieścił, podnosząc z dumą, zakończoną srebrną główką lwa łaskę. – Szkoda by było coś takiego stracić.

– Przez ciebie idioto mogliśmy stracić znacznie więcej – syknęła wściekła.

Po dwóch godzinach walki z ciemnym Ale, Knight wciąż odczuwał pragnienie. Zamoczył wąsy w kolejnym piwie, a następnie oblizał usta, odstawiając z hukiem kufel na drewnianą ławę.

– Choć tu malutka – chwycił za rękę przechodzącą obok puszystą kelnerkę, przyciągnął brankę do siebie, jednocześnie sadowiąc ją na swych kolanach. – Pewnie bolą cię nóżki od tego ciągłego chodzenia kluseczko – rzucił, obleśnie się śmiejąc.

– Hi, hi, John, ale filut z ciebie – zaszczebiotała dziewczyna, posyłając mu ukazujący braki w uzębieniu uśmiech.

– A masz! – ścisnął ją za pierś i mocno klepnął w wystający pośladek. – Myślałaś, że tego nie widzę? Cały czas się tu kręcisz, ty mała ladacznico.

Drzwi do karczmy otworzyły się, pozwalając zimnemu powietrzu otrzeźwić co bardziej spitych bywalców. Lorabelle weszła pierwsza, torując drogę Orrisowi.

– Z drogi – rzuciła, odpychając na bok pijanego brodacza. Czerwoną twarz mężczyzny wykrzywił grymas zaskoczenia, który po chwili zamienił się we wściekłość. Zamachnął się ręką, aby ostudzić prowokatorkę, lecz nagle między nimi wyrosła wysoka postać, chwytając go za nadgarstek.

– Nie słyszałeś, co pani powiedziała? – spytał zaczepnie Orris, wykręcając przy tym rękę brodacza.

– Zostaw, to boli – syknął pijak.

– I bardzo dobrze – odparł, popychając mężczyznę na stół.

Lorabelle przedarła się do kontuaru, wsparła się o Orrisa i zawołała:

– Dick dwa ciemne – pokazała na palcach.

Kędzierzawy rudzielec zerknął spode łba, wycierając brudny kufel jeszcze brudniejszą ścierką.

– A kto za to zapłaci? – powiedział.

– Nie gadaj tyle, tylko polej – odparła Lorabelle, rzucając na bar monetę.

Barman szybko ją podniósł, uważnie oglądając z każdej strony.

– Wezmę to jako część zapłaty za pokój, wisicie mi za trzy tygodnie – włożył ją do kieszeni, a następnie wrócił do zabawy ze ścierką.

– Nie narzekaj, lepszych klientów niż my możesz ze świecą szukać – odparła.

Rudzielec głośno prychnął, wyciągając spod lady pęczek związanych sznurkiem świeczek.

– Mogę spróbować – zamachał nimi przed nosem i odrzucił z powrotem.

– Co się gorączkujesz? Przecież zawsze płacimy.

– Do czasu, aż kiedyś nie wrócicie, a wtedy kto mi wyrówna? Interes to interes. Pokój musi zarabiać, a teraz tego nie robi.

– Rany, ale jesteś upierdliwy – jęknęła. – Orris dorzuć coś.

Wspólnik rzucił na blat kilka kolejnych monet. Barman błyskawicznie zlustrował zdobycz, która podążyła śladem poprzedniczki. Potężny uśmiech wykwitł na jego twarzy.

– Dwa ciemne dla moich ulubionych klientów – oznajmił, nalewając piwo. – Widzę, że fortuna sprzyja najlepszym – nie przestawał się szczerzyć. – Może coś do jedzenia?

– No, dawaj kurczaka – odparł szybko Orris, oblizując się nieświadomie.

– Rachel, jeden kurak! – wydarł się za siebie. – Ino migiem!

Lorabelle rozejrzała się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Widząc mężczyznę, machającego w jej kierunku z końca sali, podążyła w jego stronę.

– Zmykaj – powiedział Knight, zrzucając kelnerkę z kolan, klepnął ją w tyłek na odchodne. – Lorabelle siadaj – zaprosił, uderzając w siedzisko obok siebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i usiadła po drugiej stronie ławy.

– Jak leci? – zagadnęła.

– Nie narzekam, mam nowego dzieciaka – wypił potężny łyk piwa. – Szczeniak jest mały, chudy, wejdzie w każdy komin. A co u was?

– Sam wiesz, raz lepiej, raz gorzej.

Orris dosiadł się, stawiając na stole parującego kurczaka. Przytrzymał go brudną ręką, odrywając udko.

– Tego mi było trzeba – obwieścił, ciągnąc zębami skórę.

Dziewczyna rozerwała rękami pierś i wydzieliwszy kawałek soczystego mięsa, wepchnęła je sobie do ust. Spojrzała w wygłodniałe oczy Knighta i skinęła przyzwalająco głową. John tylko na to czekał, rzucił się na kurczaka jak wygłodniały pies.

– Hej nie zeżryj wszystkiego – ostrzegł z pełną gębą Orris. Odpowiedzią było głośnie mruknięcie.

Przez pewien czas panowała cisza przerywana mlaskaniem i głośnym bekaniem. W końcu kurczak zniknął tak szybko, jakby był przepiórką. John wytarł rękawem usta i pierwszy przerwał milczenie.

– Widzę, że jednak się powodzi – machnął palcem w stronę zdobnej laski.

– A, to – odparł od niechcenia Orris, gładząc dłonią srebrną główkę. – Dostałem od kolegi.

– Nie wiedziałem, że masz takich znajomych. Winszować.

– Dał mi ją w dowód wdzięczności.

– Doprawdy? A za cóż był ci tak wdzięczny?

– Za to, że nie podciąłem mu gardła – zaśmiał się rubasznie, popychając ramieniem Lorabelle, która posłała do niego uśmiech ustami wypełnionymi mięsem z kurczaka. Zadowolony z siebie rozejrzał się po sali, napotykając wzrok kelnerki, zawołał. – Jeszcze dwa – zerknął na kompana. – Albo niech będą trzy – wystawił trzy umorusane paluchy. – Raz się żyje.

Knight widząc dobry humor towarzyszy, od razu zwietrzył swoją szansę.

– Widzę, że dzisiejszy wieczór możecie uznać za udany – oblizał usta, ni to z tłuszczu, ni to z zachłanności. – Skoro tak dobrze się wam powodzi, może dalibyście staremu druhowi ze dwa suwereny, w imię dawnych dobrych czasów?

– Dobrych czasów powiadasz? – odparła Bella, odgryzając skórę od skrzydełka.

– A jakże, przeżyliśmy razem niezłe przygody, a teraz nie wiedzie mi się najlepiej, więc moglibyście wesprzeć kompana.

Kelnerka postawiła zamasyście piwo, rozlewając je na stół.

– Dzięki, skarbie – rzucił Orris, klepiąc dziewczynę w tyłek, szczerząc przy tym żółte zęby. Następnie odwrócił się w stronę kolegi. – Mówisz, że dwa?

– No – odparł szybko Knight.

– W sumie, czemu nie? – wyciągnął spod pazuchy monety, rzucając je na stół.

Ręka Johna błyskawicznie przykryła jeszcze kręcące się krążki metalu. Przesuwał je w swoją stronę, gdy Lorabelle przycisnęła jego dłoń do blatu.

– Nie tak szybko – wygięła drugą ręką palce Knighta, wyciągając spod nich złotą monetę. – Jedna w zupełności ci wystarczy.

– Ale Orris dał mi dwie.

– Ale ja mówię, że jedna, to i tak nadto – rzuciła ostrym tonem, przesuwając monetę palcem wskazującym w swoją stronę. – I jeszcze jedno, on ci jej nie dał, tylko pożyczył.

– Ale przecież...

– Jak nie chcesz, to chętnie ją zabiorę.

– Nie, nie – pociągnął rękę, wyrywając ją jednocześnie z uścisku Lorabelle. – Jeden suweren będzie w sam raz – uśmiechnął się pojednawczo i chwycił kufel ze świeżym piwem.

Orris uniósł swój, oznajmiając:

– Zdrowie bogatych jeleni, co wchodzi do ciemnej sieni – uderzył kuflem w kufle kompanów, głośno się przy tym śmiejąc.

III

Garnet odchylił odgradzającą go od świata zewnętrznego zasłonkę. Spojrzał zblazowanym wzrokiem na przelewający się po trotuarze tłum przechodniów. Wystawił głowę przez okno dorożki i krzyknął do woźnicy:

– Jeszcze jedna przecznica – opadł ciężko na kanapę, podniósł leżący obok szapoklak, dmuchnął na niego, usuwając jakiś pyłek, a następnie uderzył nim w kolano, aby się rozłożył. Ponownie zerknął na zewnątrz i widząc znajomy budynek, uderzył laską w bok dorożki. Stangret krzyknął coś do koni, zatrzymał pojazd nieopodal kamiennych kolumn znaczących wejście do kamienicy, zeskoczył z kozła i otworzył drzwi.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Nie da się ukryć – odparł Garnet, ostrożnie wysiadł, założył cylinder i uderzył dwukrotnie laską w bruk. Widząc, że przykuł uwagę, powiedział. – Proszę wszystko wnieść do środka – machnął laską, pokazując drogę, jaką powinny przebyć jego bagaże. Wszedł na schody i uderzył trzykrotnie mosiężną kołatką. Po chwili drzwi się otworzyły.

– Och! Panicz Garnet! – zawołała z emfazą Brittanica. – Jak miło pana widzieć – omal nie rozplynęła się ze szczęścia.

– Wzajemnie – odparł, wkraczając do środka.

– Jak minęła paniczowi podróż?

– Cóż, nie można powiedzieć, żeby było to coś, co z chęcią bym powtórzył – mówiąc to, podał Brittanice cylinder i wszedł do salonu. Przez chwilę wahał się gdzie usiąść, w końcu rozłożył się na kanapie, wyciągając nogi na misternie rzeźbionym podłokietniku. – Niech tylko sobie pani wyobrazi te wszystkie godziny spędzone w tej nędznej furmance. Jak można w czymś takim podróżować, a do tego te drogi. Jedynym zbawieniem wydaje się kolej, jednak ten hałas jest nie do zniesienia – położył dłoń na czole, demonstrując w ten sposób potworny ból głowy.

Panna Bennett stała przez całą tyradę uważnie wysłuchując narzekań, co pewien czas zerkając w stronę woźnicy, upewniając się tym samym, że wszystkie bagaże trafią tam, gdzie powinny.

– Czy pani matka jest w domu?

– Tak, zaraz ją powiadomię, że panicz przybył – wycofała się na korytarz i widząc woźnicę stawiającego kolejne walizki, powiedziała ostro. – Gdzie pan to, kładzie? Myśli pan, że będziemy nad tym fruwać?

– Ale... – wydukał.

– Niech pan natychmiast zanieś bagaże do pokoju panicza.

– Tylko że ja nie wiem, gdzie on jest – rozejrzał się bezradnie.

– To, czemu od razu pan nie mówi – zachnęła się. – Daphne! – zawołała, odczekała chwile i ponowiła okrzyk. Po paru sekundach rudowłosa pokojówka zbiegła po schodach. – Gdzieżeś się podziewała nieużyta dziewczyno?

– Przepraszam, pani Bennett ja tylko...

– Nie chcę słuchać głupich wymówek – machnęła lekceważąco ręką. – Przydaj się do czegoś i pokaż temu panu, gdzie znajduje się pokój panicza Garneta, ale to migiem. Nie mamy czasu na spacerki.

Daphne natychmiast pobiegła na górę.

– Gdzie tak pędzisz, głupia dziewucho? – rzuciła Brittanica. – Łap się za walizkę, dla odmiany możesz czasem popracować – przewróciła oczami, szukając wsparcia u stangreta, lecz nie widząc zrozumienia, tylko głośno westchnęła. Podążyła ich śladem.

Pokój młodego Griffith'sa znajdował się na piętrze na końcu korytarza, tak więc naturalnym przystankiem w drodze do niego okazała się sypialnię Clementine. Panna Bennett stanęła przed dębowymi drzwiami i ostrożnie w nie zapukała. Sekundę później dał się słyszeć zachrypnięty kobiecy głos:

– Czego?

Ostrożnie nacisnęła klamkę i nieśmiało zajrzała do środka. Okna były zasłonięte przez ciężkie kotary, tworzące półmrok w całym pomieszczeniu.

– Chciałam tylko zakomunikować, że przyjechał panicz.

– Co powiedziałaś?

– Przyjechał panicz.

– Garnet tu jest?

– Tak madame.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Przepraszam, ale powóz przyjechał...

– Nie chcę tego słuchać. Nie stój w tych drzwiach jak kij. Odsłoń rzesz w końcu te cholerne zasłony i podaj mi jakąś suknię – wygrzebała się spod grubej pierzyny, usiadła na łóżku i sięgnęła do stojącego obok barku. Złapała kryształową szklankę, wypijając jej zawartość.

Brittanica odsunęła story, światło słoneczne zalało pokój. Następnie otworzyła szafę, wydając ciemnoszarą suknię.

– A co to za kolor? Wyjmij mi coś żywszego, może tę zieloną.

– Jak sobie madame życzy – wyciągnęła suknię w kolorze brukselki, kładąc ją na łóżku.

– Czy pokój Garneta jest już gotowy? – spytała Clementine, nalewając whisky do szklanki.

– Powinien być przygotowany – odparła szybko i od razu pożałowała tego, co powiedziała.

– Jak to powinien? To ty tego nie wiesz? – wściekłość odmalowała się na jej twarzy. – Myślisz, że za co ci płacę? Za zgadywanie? Masz prostą pracę. Jedyne czego od ciebie się wymaga, to to, żebyś wiedziała, a nie snuła przypuszczenia.

– Ma pani całkowitą rację, więcej się to nie powtórzy – pochyliła pokornie głowę.

– Oczywiście, że się nie powtórzy, bo w przeciwnym razie twoje obowiązki może równie dobrze wykonywać ta gruba kucharka Cor..., Hor...

– Hortense – dokończyła Brittanica.

– Co to miało znaczyć? Myślisz, że nie wiem jakie imiona nosi moja służba?

– Nie madame, ja tylko myślałam, że...

– O widzę, że myślisz, to już jakiś postęp, a teraz z łaski swojej może sprawdzisz, czy wszystko zostało zrobione, abyś nie musiała więcej snuć swoich przypuszczeń – zakończyła wywód haustem whisky.

Gdy tylko Brittanica uwolniła się od swojej prześladowczyni, natychmiast ruszyła na górę. Z rozwianą suknią wbiegła do pokoju, w którym piętrzył się stos walizek. Widząc pochylającą się nad łóżkiem Daphne, od razu przystąpiła do rozładowania swojej frustracji.

– Pościel zmieniona? – rzuciła ostro bez zbędnego wstępu.

– Tak – odparła szybko służąca, stając na baczność. – Pokój jest już gotowy, tak jak pani sobie życzyła.

Panna Bennett rozejrzała się baczny wzrokiem, podeszła do komody przecierając dłonią blat, szukając chociaż odrobiny kurzu. Jak na złość nie

znalazła ani drobiny. Niezadowolona z efektu poszukiwań zatrzymała wzrok na walizkach.

– Mówisz, że jest gotowy? Tak?

Dziewczyna skinęła potakująco głową.

– To w takim razie wyjaśnij mi, co to jest? – machnęła ręką na górę bagaży. – Mam rozumieć, że sarta rzeczy piętrzących się na dywanie, to coś normalnego w przygotowanym pokoju?

– Nie ja... – wybąkała wystraszona.

– Myślisz, że panicz po ciężkiej podróży, będzie teraz babrał się w tych szmatach? Bagaż powinien być już dawno rozpakowany, a tymczasem widzę tu jeden wielki śmietnik.

– Przepraszam, jeszcze nie zdążyłam...

– Czego nie zdążyłaś?! Nie zdążyłaś przygotować pokoju? – spiorunowała spojrzeniem pokojówkę. – Od razu widać, że nie jest gotowy. Nie musisz mi o tym mówić. Nie wiem, co mają na celu te twoje kłamstwa. Uważasz, że jestem głupia, a może ślepa?

Dziewczyna już miała odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili stwierdziła, że lepiej będzie trzymać usta na kłódkę.

– Weź się do pracy i przestań myśleć o niebieskich migdałach. Pamiętaj, nie ma ludzi niezastąpionych, a ciebie zastąpić jest bardzo łatwo – wychodząc, posłała kolejne wściekłe spojrzenie. Schodząc na dół, uśmiechnęła się pod nosem. Rozmowa z Clementine na chwilę wyprowadziła ją z równowagi, ale teraz wszystko znowu wróciło na odpowiednie tory.

Lokal był ciemny i zadymiony. Składał się z kilku pokoiów, w których niewielkie okna zostały szczelnie zasłonięte ciężkimi storami. Umeblowanie stanowiło kilka szeslongów i mnóstwo posłań rozmieszczonych między nimi.

Walter przystawił usta do bambusowej rurki i mocno się zaciągnął, przytrzymał dym w płucach, wypuszczając po kilku sekundach. Spojrzał w nikłe światło małej olejowej lampki, ledwie rozjaśniającej nieprzeniknioną ciemność. Leżał tak przez kilka minut, delektując się stanem upojenia. Ponownie podniósł długą na ponad dwie stopy fajkę i się zaciągnął. Czując, że opiumowy wsad się wypala, kiwnął ręką na majaczącą w drugim kącie

pokoju sylwetkę. Mężczyzna wstał i po chwili pochylił się nad szezlongiem Waltera.

– Jeszcze jedną kulkę – zaordynował Walter.

Chińczyk nabił porcelanową główkę fajki świeżą porcją opium i ustawił nad płomieniem olejowej lampki, tak aby nadać jej odpowiednią temperaturę, a jednocześnie nie spalić cennego specyfiku. Rozkoszny zapach zaczął drażnić nos Griffith'sa. Odczekał chwilę i zaciągnął się świeżą dawką. Pod ścianą jakiś mężczyzna kręcił się delikatnie, mamrocząc coś do siebie, kolejny jegomość leżał na podłodze w podartej kapocie zupełnie bez ruchu, wyglądał na martwego. Walter przysunął fajkę do ust, miał wrażenie, że czynność ta trwa całe godziny. Zrobił głęboki wdech, wciągając porcję dymu. Przytrzymał w płucach, tak jak czynił to wiele razy wcześniej. Wypuścił go powoli, delektując się każdą sekundą. Czuł jak jego powieki, stają się potwornie ciężkie. Uśmiechnął się do siebie, gdy delikatne mrowienie rozeszło się po całym ciele. Wreszcie zaczął powoli odpływać.

– Więc to jest panicz Garnet? – spytała Mildreth, zerkając co jakiś czas na korytarz.

– We własnej osobie – odparła Hortense, krojąc marchew.

– Na portrecie wygląda jakoś inaczej.

– Na portretach każdy wygląda inaczej. Ty też wyglądałabyś jak księżniczka – zatrzymała nóż w powietrzu, odwracając się. – Nie mówię, że jesteś brzydka. Nic z tych rzeczy, jesteś naprawdę ładną panią – szybko zastrzegła. – Chodzi mi o to, że jak ktoś płaci malarzowi za portret, a nie są to małe pieniądze, to będzie wymagał, żeby wyglądał na nim jak młody bóg. Choćby był zezowaty i miał kartofel zamiast nosa. Przecież nie powiesz jakiejś szkarady na ścianie, żeby się nią chełpić wśród krewnych i znajomych, a gdy za naście lat ktoś spyta: jak kiedyś wyglądałeś lub jak wyglądał twój krewny? Wystarczy, że pokażesz mu obraz, na którym widnieje upiększona wersja. Kto będzie pamiętał, jak wyglądała ta osoba wcześniej, że była kulawa, a lewą ręką mogła podnosić monety z ziemi, nie zginając przy tym krzyża. Czy widziałas kiedyś portret, na którym namalowano wyjątkowego maszkarona?

– Hmm..., chyba nie, ale widziałam bardzo mało obrazów. Głównie wisiły w kościele, więc hmm..., sama nie wiem. Chociaż – nagle wyraźnie

się ożywiła. – W pokoju na górze wisi portret ojca pana Waltera i wygląda na nim strasznie.

– Ha, ha, masz rację. Znałam go i musisz mi wierzyć na słowo, że malarz wzbił się na wyżyny swoich umiejętności, żeby zatuszować liczne niedociągnięcia natury. Gdyby nie on, na ścianie wisiłby portret szympansa.

Mildreth wytrzeszczyła oczy, nie wierząc w to, co usłyszała i parsknęła śmiechem. Zadowolona z siebie kucharka wróciła do krojenia marchwi.

– A co panicz Garnet robił, gdy go tu nie było? – indagowała służąca.

Odgłos uderzenia noża o deskę ustał i Hortense ponownie się odwróciła, wycierając jednocześnie ręce o fartuch.

– A cóż mógł robić taki dandys jak on? – spytała sama siebie. – To samo co tutaj.

– Czyli co?

– Jak to co? Nic. Odkąd pamiętam, nie robił nic. Zresztą nie ma co się dziwić, w końcu fachu wyuczył się od ojca, a kto jak kto, ale on osiągnął w tej profesji poziom iście mistrzowski. Gdyby chciał, mógłby nawet założyć cech, którego byłby wielkim mistrzem, ale wtedy musiałyby coś zrobić, a to byłoby już sprzeczne z zawodem, który wykonuje – podeszła do kredensu, wyjęła z niego srebrną paterę i nałożyła na nią ciasto. – Lepiej idź, zanieś im to ciasto, bo w przeciwnym razie, zaraz pojawi się tutaj to wredne, suche babsko.

Mildreth ostrożnie wślizgnęła się do salonu. Widząc, iż nie umknęła uwadze Garneta, delikatnie dygnęła, balansując z trzymaną w rękach paterą. Był to jej debiut, jeśli chodzi o taką figurę i dlatego niezmiernie ucieszyła się, widząc, iż nie spowodowała ona żadnych ubytków względem niesionego ciasta. Odstawiła deser na stół, starając się przy tym nie gapić zbyt długo na panicza i aby tego dokonać, postanowiła skupić całą swą uwagę na dębowym parkiecie.

– A gdzie podział się ojciec? – spytał Garnet.

– No cóż, pielęgnuje swoje nowe hobby, jakim stały się palarnie opium. Można wręcz powiedzieć, że poświęca się mu bez reszty – odparła Clementine.

– Nowa służąca? – machnął głową za wychodzącą Mildreth.

– Tak, przygarnęliśmy ją w miejsce Marty.

– Marty, a co się z nią stało?

– Wyobraź sobie, że ta niewdzięczna dziewczucha odeszła – przez chwilę wpatrywała się w oczy syna, aby sprawdzić, jak mocną reakcję wywołała na nim ta potworna wiadomość. – Po tylu latach i po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy. Po prostu zrezygnowała z pracy. Nigdy nie przypuszczałam, że wykaże się tak wielkim egoizmem.

– Ale czemu to zrobiła?

– Wyszła za mąż i to za jakiegoś węglarza. Pff...– fuknęła oburzona. – Oczywiście zaproponowałam, że możemy przyjąć go na służbę. Wtedy mogłaby mieszkać wspólnie z nim w służbówce, ale ona stwierdziła, że wolą mieszkać razem w jakieś suterenie. Rozumiesz coś z tego?

Garnet tylko kiwnął przecząco głową, sięgając po filiżankę herbaty.

– No właśnie, ja też nie, a przecież musiała dobrze wiedzieć, jak teraz trudno o porządną służbę. Czasami myślę, że zrobiła to po złości. Naprawdę jestem mocno zawiedziona jej zachowaniem, jak tylko o tym pomyślę, zaraz mam atak migreny – dotknęła ostentacyjnie czoła, biorąc przy tym kilka głębokich wdechów.

Młody Griffith szybko wyciągnął białą chusteczkę, machając nią intensywnie przed twarzą matki.

– Dziękuję ci skarbie – głośno wypuściła powietrze. – Tylko na tobie naprawdę mogę polegać.

– Zawsze – odparł skwapliwie, wachlując skrawkiem materiału. – Więc powiada mama, że ta nowa służąca nazywa się... – zawiesił głos, czekając na pomoc rodzicielki.

– Nie pamiętam, chyba Klara lub Betty. Panna Bennett skądś ją wzięła. Nie mam głowy do takich błahostek. Sam wiesz, jak wiele obowiązków spoczywa na moich barkach, żebym nie ja, ten dom dawno popadłby w ruinę.

– Oczywiście, może mama powinna trochę odpocząć?

– W rzeczy samej, czuję się potwornie zmęczona.

– Przecież to jakaś kompletna bzdura – powiedział Walter do Clementine. – Jak dałem się na to wszystko namówić – wyjął z kieszeni butelkę z laudanum i wypił pokaźny łyk.

– Mówię ci, że to jest prawda, zresztą zaraz sam się o tym przekonasz – popchnęła go na schodki, prowadzące do zdobnego w akanty wejścia.

– A ja ci mówię, że to jest zwykłe naciągactwo. Znam wiele lepszych sposobów na wydanie tych pieniędzy.

– O tak, w to akurat nie wątpię – prychnęła. – No, na co czekasz? Myślisz, że same się otworzą?

– A czemu nie? Skoro z niej taki jasnowidz, to powinna wiedzieć, że tu stoimy – wysłał kpiący uśmiech w stronę żony. Niestety nie podchwyciła żartu, więc uniósł laskę i uderzył trzykrotnie srebrną rączką o drzwi.

Czekali na tyle długo, iż Walter postanowił zrezygnować. Odwrócił się gotów do ewakuacji, gdy drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

– Państwo Griffith, jak mierniam – powiedział szczupły mężczyzna w czarnym fraku. – Czekaliśmy na państwa – odsunął się na bok, przytrzymując otwarte drzwi.

– Nie da się ukryć, że my również – rzucił pod nosem Walter. Na tyle jednak głośno, aby słowa doszły do uszu odźwiernego.

– Najmocniej proszę o wybaczenie, ale byłem w drugim końcu domu, a zdrowie już nie to, co kiedyś – odparł. Poczekał, aż wejdą do środka i zamknął drzwi. – Proszę za mną – ruszył przodem, wyraźnie kulejąc.

Korytarz był wąski i ciemny, na jego końcu majaczyło niewyraźne światło. Weszli do dużego pokoju przeładowanego licznymi trofeami myśliwskimi.

– Proszę o państwa okrycia – odwiesił ubrania na wieszak i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi. – Seans odbędzie się w drugim pokoju – otworzył drzwi i oczom przybyłych ukazał się salon, niedużo większy od pokoju, w którym właśnie stali. W blasku ustawionej na stole świecy można było dojrzeć jedynie blade twarze ludzi, siedzących wokół dużego, owalnego stołu. Jedynym widocznym meblem poza stołem i krzesłami było stojące obok bogato zdobione tremo.

– Witam – odezwała się madame de Conteville. Wstała, wskazując dwa puste krzesła. – Proszę spocząć. Pragnę państwu przedstawić, państwo Griffith – obwieściła obecnym. Walter i Clementine skłonili się delikatnie. – To państwo Turner – wskazała ręką na szepczącą parę, mającą nie więcej niż trzydzieści lat. – Pani Roberts – tęga kobieta w krzykliwym amarantowym stroju spojrzała ponuro na nowo przybyłych. – Oraz panna Wright – starsza kobieta w czerni posłała dobroduszny uśmiech.

Madame de Conteville poczekała, aż nowo przybyli zajmą wyznaczone przez nią miejsca i kontynuowała.

– Cieszę się, że jesteśmy w komplecie – powiodła wzrokiem po obecnych.
– Zatem możemy zaczynać. Zachariah, czy mógłbyś? – kiwnęła głową na stojącego w kącie mężczyznę, który podszedł do otwartych drzwi i wyszedł, zamykając je za sobą. Chrząknęła. – Kontakt ze zmarłymi nie jest prosty i aby do niego doszło, proszę o przestrzeganie pewnych zasad. Po pierwsze, proszę nie rozmawiać podczas seansu – spojrzała znacząco w kierunku wciąż szepczących do siebie Turnerów. – Pomoże mi to odpowiednio się skoncentrować. Po drugie, podczas seansu będziemy trzymać się za ręce. Niech każdy z przybyłych, chwyci dłoń osoby siedzącej obok niej.

Walter złapał rękę Clementine, a drugą ujął dłoń pani Turner, posyłając jej delikatny uśmieszek. Jednak nie widząc zainteresowania z jej strony, odwrócił się w stronę madame de Conteville.

– Bardzo istotną kwestią jest to, byśmy pod żadnym pozorem nie rozerwali tego kręgu. Nie ważne co by się działo lub co byśmy słyszeli. Nie wolno nam puścić ręki osoby siedzącej z boku. Nigdy – ostatnie słowo zaakcentowała z taką siłą, że Clementine, aż podskoczyła do góry.

Walter zaśmiał się cicho, widząc dygoczącą na krześle małżonkę. Jego radość nie trwała jednak zbyt długo, gdyż od razu wyczuł na sobie piorunujący wzrok medium.

– Dobrze, zatem zaczynamy. Panno Wright, z kim chciałaby się pani skontaktować?

– Z Charlesem, z moim małym Charlesem.

Madame de Conteville zamknęła oczy, mruczac coś do siebie. Trwało to dobrą minutę, w końcu odchyliła głowę do tyłu i powiedziała:

– Czy jest tu z nami Charles? – odczekała chwilę. – Charlesie Wright, wzywam cię, twoja mamusia, chce z tobą rozmawiać – nastąpiła krótka pauza.
– Czy ktoś z was zna Charlesa Wrighta – rzuciła gdzieś w przestrzeń ponad siedzącymi. Odczekała chwilę i odwróciła się w kierunku staruszki. – Jak wyglądał Charles?

– Był taki mały, słodziutki i miał takie wielkie uszy, jak biegał, to falowały na wszystkie strony – powiedziała z rozrzewnieniem panna Wright.

Walter spojrzał z wytrzeszczonymi oczami na medium, a potem na żonę, która zdziwiona odwróciła głowę w jego stronę i cicho szepnęła jej do ucha:

– Rany, ale musiał być paskudny.

– Słyszycie nas? – spytała madame Conteville. – Czy jest pośród was Charles? – odchyliła głowę do tyłu, po chwili dodała. – Jest z nami – obwieściła z triumfem. – Co chce mu pani przekazać?

– Kochany, chciałam ci powiedzieć, iż wybaczam ci to, że sikales na moje żonkile i czasem zrobiłeś kupę w salonie.

Walter ponownie odwrócił się w stronę żony.

– A niech mnie. Musiał być z niego niezły świr. O co tu do diabła chodzi? – szepnął.

– Nie wiem – odparła niemal bezgłośnie.

– Czy jest ci tam dobrze? – spytała staruszka.

– Odpowiedział, że tak i że bardzo za panią tęskni – odparło medium.

– Ja też tęsknię za moim pieskiem.

Walter kopnął pod stołem Clementine, omal nie parszając śmiechem, jednak stłumił go w ostatniej chwili siłą woli.

– Czy chce pani jeszcze mu coś powiedzieć? – spytała madame Conteville.

– Nie mogę się doczekać, kiedy się znowu spotkamy – powiedziała panna Wright.

– Patrząc na ciebie, to szybciej niż myślisz – szepnął drwiąco Walter w ucho żony.

– Charles prosił, aby przekazać, że będzie czekał. Możesz już odejść – madame de Conteville, wyprostowała się i potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić z siebie resztki snu.

– Dziękuję, jest pani cudowna – rzekła panna Wright.

Medium uśmiechnęło się, odwracając wzrok w stronę kolejnej osoby.

– Pani Roberts z kim chciałaby się pani skontaktować?

– Z moim zmarłym mężem Johnem.

– Proszę dać mi chwilę – ponownie odchyliła głowę do tyłu, mamrocząc coś do siebie. – Czy jest tu z nami John Roberts? ... Johnie Roberts, czy słyszysz nas? Jeśli tak, daj nam jakiś znak.

Wtem zimny podmuch powietrza przemknął przez pokój, sprawiając, iż płomień świecy zawirował, prawie gasnąc.

– John Roberts jest z nami – zakomunikowała madame de Conteville. – Co chce pani mu przekazać? – zwróciła się do tęgiej kobiety w amarantowej sukni.

– Niech się go pani spyta. Co zrobił z kolia mojej matki?

– Johnie Roberts. Gdzie jest kolia? – płomień świecy ponownie zakołysał się na wszystkie strony. – Odparł, że nie masz prawa do tej koli.

– Co? Ta kolia należy do mnie i do mojej rodziny, do nikogo więcej, ma mi ją zwrócić. Natychmiast!

– Powiedział, że nigdy jej nie znajdziesz.

– Oddawaj moją kolię!

Medium przecząco pokręciło głową.

– Mów gdzie jest kolia, ty wredna szumowino! – krzyknęła pani Roberts.

Nagle madame de Conteville otworzyła oczy, wybałuszając je tak, że gałki oczne znalazły się na zewnątrz i ryknęła niskim gardłowym głosem:

– Nigdy jej nie ujrzysz, ty tłusta puszczańska szmato. Nigdy! – głowa opadła jej bezwładnie na pierś.

Pani Turner odskoczyła do tyłu, przewracając krzesło na podłogę.

– Mój boże co to było? – spytała roztrzęsiona męża.

– Nie mam pojęcia – odparł, nie odrywając wzroku od medium. – Chyba duch.

– Oczywiście, że duch. A niby co? Przecież po to tu wszyscy przyszliśmy – rzuciła wściekła pani Roberts.

– Ale to było... – pani Turner zabrakło słów.

W tym momencie madame de Conteville ocknęła się, uniosła do góry głowę i rzuciła ostrym tonem, niemal krzycząc:

– Ręce!

Na twarzach zebranych odmalowała się konsternacja.

– Ręce, mówiłam państwu, żeby niezależnie od tego, co się wydarzy, nie przerwać kręgu, a pani to robiła – wskazała oskarżycielsko na stojącą kobietę.

– Ja, ja nie chciałam, to był przypadek. Pani mówiła takim okropnym głosem, że się wystraszyłam. To było...

– Proszę się nie dziwić. Wyglądała pani tak przerażająco – wtrącił współmałżonek.

– Gdyby znała pani mojego męża, wiedziałby pani, że to, co tutaj pokazał to, było nic. Czasami jak mocniej wypił... – wtrąciła pani Roberts.

– Proszę państwa – przerwała madame Conteville. – Rozerwanie rąk może nieść ze sobą daleko idące konsekwencje. Jeśli nie zdołaliśmy odesłać ducha, nim krąg został przerwany, istnieje duże prawdopodobieństwo, iż pozostanie on między nami.

Pani Roberts rozejrzała się w koło.

– Łatwo to sprawdzić. Jesteś tu, ty stary capie? – wypowiedziała pytanie w mrok za swoimi plecami – wszyscy wstrzymali oddech, czekając na coś,

co za chwilę się wydarzy. Mijały sekundy, lecz ciszę przerywał jedynie świszczący oddech panny Wright. – Najwyraźniej mój małżonek poszedł w stronę światła, czyli do jasnej cholery – wściekła wypuściła powietrze nosem, jak byk gotujący się do szarży.

– Zatem, czy możemy kontynuować? – spytał Walter.

– Nie jestem przekonana czy powinniśmy, w tej chwili może to być bardzo niebezpieczne, duch został rozwścieczony, a wrota nie zostały do końca zamknięte. Myślę, że w takim wypadku powinniśmy zakończyć ten seans – odparła madame de Conteville.

– Madame – wtrącił Turner stanowczym głosem, wstając z krzesła. – Jechałem tu z żoną ponad pięć godzin i nie zrobiliśmy tego po to, by spotkać się z duchem psa Teodora...

– Charlesa – przerwała panna Wright.

– Charlesa czy Maksa, to bez znaczenia.

– Może dla pana. Mój słodki cocker-spaniel nazywał się Charles i jeśli jest pan gentlemanem, powinien pan uszanować jego pamięć.

– Oczywiście Charles – Turner przewrócił oczami.

– Dziękuję młody człowieku – odparła panna Wright.

– Tak czy inaczej teraz jest nasza kolej i chcielibyśmy z żoną – tu spojrzał na małżonkę, która skinęła przyzwalająco głową. – Kontynuować ten seans.

– Czy wszyscy się zgadzają? – spytała madame Conteville. Przez pokój przebiegł pomruk aprobaty. – Dobrze, zatem proszę ponownie chwycić się za ręce i pod żadnym pozorem nie rozrywać kręgu – wymownie spojrzała na panią Turner.

– Dlaczego cały czas mówi pani do mnie? – odezwała się pani Turner. – Raz mi się zdarzyło, wielka rzecz. Każdy mógł się wystraszyć.

– Nie mówię do pani. Mówię do wszystkich.

– A mi się wydaje...

– Kochanie, czy możesz przestać? – odezwał się pan Turner.

– Jak uważasz, ale mam wrażenie..., auu, nie ściskaj mnie tak mocno.

– Zatem zaczynamy, z kim chcieliby się państwo skontaktować?

– Z moją zmarłą matką, Elizabeth Frey – odpowiedziała szybko pani Turner.

– Niech tak się stanie – madame de Conteville po raz trzeci tego wieczoru odchyliła głowę do tyłu i zaczęła mamrotać niezrozumiałe słowa. – Czy jest dziś z nami Elizabeth Frey? – pytanie zawisło w powietrzu. – Elizabeth Frey, czy nas słyszysz?

W pokoju dał się wyczuć wyraźny chłód, a płomień świecy ponownie zakolysał się na boki.

– Jest – obwieściło medium. – Proszę pytać.

– Mamo, czy to naprawdę ty?

– Mówi, że tak. Nadal pamięta, jak na urodziny kupiła ci siwego kucyka, a ty przez cały dzień na nim jeździłaś, a potem nie chciałaś iść spać. Powiedziałaś, że położysz się tylko wtedy, jeśli kucyk będzie spał razem z tobą.

– Boże, tak było – wydukała ze łzami w oczach pani Turner. – Mamo, jak tam jest?

– Odpowiedziała, że jest dobrze, że wreszcie...

– Kto tam stoi? – przerwał nagle Walter, wpatrując się w przestrzeń za panią Roberts.

– Proszę nie przeszkadzać... jestem w kontakcie z duchem i ...

– Ale tam ktoś jest, widzicie?

– Gdzie? – spytał Turner.

Walter chciał wskazać palcem, ale poczuł na dłoni mocny uścisk żony.

– Nie przerywaj kręgu Walterze – ostrzegła go Clementine.

– Proszę pana, to tylko lustro – rzucił Turner.

– Wiem przecież, ale widzę tam czyjeś odbicie. Spójrzcie.

Wszyscy jak na hasło obrócili głowy w stronę trema.

– Ma pan rację, widzę odbicie jakiegoś gentlemana – oznajmiła panna Wright.

– Gdzie z tyłu? Nic nie widzę – powiedziała pani Roberts. Nerwowo wiercąc się na krześle, próbowała spojrzeć za swoje plecy, lecz krąg złączonych rąk skutecznie jej to uniemożliwił. – Puśćcie mnie, muszę to zobaczyć.

– Proszę nie rozrywać kręgu – ostrzegła stanowczym tonem madame de Conteville, starając się jednocześnie panować nad głosem.

– Widzę go – Clementine ze wszystkich sił starała się powstrzymać krzyk. – Ale jeśli to jest odbicie, to... – odwróciła głowę w drugą stronę. – Tam nikogo nie ma – oznajmiła, patrząc za plecy medium.

– To jest duch! – krzyknęła pani Turner. – Ale to nie jest moja mama, to... – zaniemówiła.

– Co tam jest?! – pani Roberts kręciła się na wszystkie strony, jakby siedziała na rozgrzanych węglach. – Co tam jest?!

– Oczywiście, że to nie twoja matka, to jakiś mężczyzna. Może pan Roberts – oznajmił Turner.

– John, to ty?! – krzyknęła puszysta kobieta. – Puszczajcie mnie – szarpnęła wściekle, wrywając ręce i spojrzała za siebie. W lustrze ujrzała rozmazaną sylwetkę, która z każdą sekundą się powiększała. Tak jakby zbliżała się do tafli szkła.

– Krąg, przerwaliście krąg! – krzyknęła zdenerwowana madame de Conteville.

– To nie jest John. Nie wiem, kto to jest – wyrzuciła z siebie pani Roberts, wpatrując się w zwierciadło jak zahipnotyzowana.

– Czemu tu tak zimno? – odezwała się pani Turner. – Jak tu lodowato – obłok pary wypłynął z jej ust.

– Chwycie się za ręce! Szybko! – krzyknęła madame de Conteville.

– On się zbliża! – zawołała Clementine, odpychając krzesło do tyłu.

Sylwetka w lustrze była tak duża, jakby stała tuż po drugiej stronie trema.

– Proszę, złapmy się za ręce! Bo za chwilę będzie za późno! – krzyknęło rozpaczliwie medium.

Pani Turner wyciągnęła dłoń, chwytając rękę pani Roberts. Panna Wright wyciągnęła swoją w stronę oniemiałej kobiety, aby zamknąć krąg i w tym momencie lustro pękło, rozsypując się na setki kawałeczków. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a lodowaty powiew przeciął powietrze, zdmuchując płomień świecy i zapadła nieprzenikniona ciemność. Po chwili potworny huk wypełnił pomieszczenie, tylko na moment zagłuszając kanonadę niehumanicznych wrzasków.

Mildreth zakończywszy wieczorną toaletę, wyszła z łazienki, mijając schody, wychyliła się poza balustradę. Niższe piętro skrywał już mrok. Najwidoczniej wszyscy domownicy pogrążyli się we śnie. Oświeciła świecą korytarz, na drugim jego końcu dostrzegła jakiś ruch. Zaintrygowana wystawiła przed siebie świecę, aby tym samym móc zwiększyć obszar, na który padał nikły blask. Ktoś lub coś zbliżało się w jej kierunku. Z ciemności wynurzała przyodziana w białą, zwiewną koszulę, jakaś niewyraźna postać. Opadające na twarz długie włosy, spływały swobodnie na wyciągnięte

przed siebie ręce. Biała zjawą, przekręcając głowę w stronę oniemiałej dziewczyny, wydała z siebie cichy dźwięk:

– Ylli...

Mildreth rzuciła się do ucieczki, w mgnieniu oka dopadła służbówki, trzęsącą ręką otworzyła drzwi i błyskawicznie zamknęła za sobą. Przekręciła klucz w zamku, wciąż rozdygotana z trudnością wstawiła świecę do lichtarza i rzuciła się na łóżko, wskakując pod kołdrę. Nie spuszczając wzroku z drzwi, podkuiliła nogi, wciskając się w kąt łóżka. Po chwili usłyszała skrzypnięcie desek, a mosiężna klamka skierowała się ku dołowi, podnosząc ciśnienie Mildreth w górę.

– Ylli... – usłyszała ponownie ten sam nieartykułowany dźwięk i mimowolnie zadrżała.

– Kto tam? – wydusiła z siebie.

– Ylli...

– Zostaw mnie.

Odzewem było delikatne pukanie.

– Kto tam? – spytała, w panice niemal krzycząc.

– Daphne.

Słyszac znajomy głos, nie bez oporów zsunęła się z łóżka.

– Daphne, to ty? – zapytała, ostrożnie zbliżając się do drzwi.

– Ja, a niby kto?

Mildreth przekręciła klucz w zamku, uchyliła drzwi, tworząc szparę niewiększą niż na jeden palec.

– Co się wygłupiasz? Przecież umówiliśmy się, że przyjdę – Daphne przestąpiła z nogi na nogę.

– Przepraszam, całkiem zapomniałam – odparła, wpuszczając koleżankę.

– Rany, ale zimno – wskoczyła szybko do łóżka.

Mildreth wgramoliła się pod kołdrę, kładąc się obok nocnego gościa.

– Ale mnie wystraszyłaś – powiedziała. – Myślałam, że to jakiś duch. Czemu tak dziwnie szłaś?

– Nie mogłam znaleźć świecy, więc musiałam iść po omacku.

– Aha... – zaśmiała się ze swojej wybujałej wyobraźni. – Ale czemu jęczałaś?

– Nie jęczałam.

– Jak to nie, a to „Ylli”? Zawodziłaś jak jakiś upiór.

– Ha, ha, mówiłam Millie.

– To nie mogłaś głośniej?

– Przecież nie będę krzyczała. Lepiej, żeby ta suchotnica Bennett nie wiedziała, że przyszedłam do ciebie w nocy. Nie wiadomo do czego mogłaby się przyczepić i bez tego nie da się z nią żyć – w blasku świecy cienie na jej twarzy zatańczyły, nadając jej lekko upiorny wyraz.

– No, masz rację – przekręciła się na bok, aby lepiej widzieć Daphne. – To teraz powiedź mi coś więcej o paniczu.

– Czyżby wpadł ci w oko?

– Co? – skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Dobra, dobra. Ja wiem swoje – poprawiła się w łóżku. – Więc jest ukochanym synkiem mamusi. Zrobiłaby dla niego wszystko, zresztą myślę, że on dla niej też. Wyjechał prawie rok temu. Z tego, co wiem, jeździł po Europie, co pewien czas przysyłał listy. Raz z Niemiec, raz z Francji, mieszkał też parę miesięcy we Włoszech.

– A co on tam robił?

– Cóż mógł tam robić? Pewnie wydawał pieniądze rodziców, nic innego nie potrafi, ale pani Griffith kiedyś powiedziała, że „pojechał odnaleźć siebie”, czy coś takiego. Jedno jest jasne. Na pewno nie pojechał się uczyć, chociaż to by mu nie zaszkodziło. Za mądry, to on nigdy nie był, a jak wygląda, sama widziałaś. Trudno go nazwać Adonisem.

– Kim?

– Adonisem.

– A kto to?

– Yyy..., sama nie wiem, ale czasem tak mówi pani Clementine, gdy widzi kogoś, kto jej się niezbyt podoba.

– I mówiła tak o synu? – wytrzeszczyła oczy.

– O nim chyba nie – zmarszczyła nos, próbując sobie coś przypomnieć. – Przynajmniej ja tego nie słyszałam. Po prostu delikatnie mówiąc, nie jest zbyt ładny.

– No – kiwnęła głową.

– Ale dziewczynom, to raczej nie przeszkadza, ciągle się tu jakieś kręciły. Jedna była nawet córką jakiegoś hrabiego.

– Hrabiego – Mildreth powtórzyła bezmyślnie, chłonąc nowe wiadomości.

– Nie ma co się dziwić, nie znam nikogo, kto by był tak bogaty, jak państwo Griffith, a ta dziewczyna nie miała chyba nic poza tytułem. Wydaje mi się, iż to był pomysł jej rodziców. Brittanica mówiła, że kiedyś jej ojciec miał nawet zamek, ale przegrał go w karty.